Numer podwójny 50 kop.

№ 5—6. KIJÓW, 29 MAJA (11 CZERWCA) 1914 ROKU. № 5—6.

KŁOSY UKRAIŃSKIE

Z DODATKIEM „ROLNIK UKRAIŃSKI".

KANTORY I AGENCJE

KIJÓW — HUMAŃ — BIAŁA CERKIEW — BERDYCZÓW — KAMIENIEC — WINNICA — PŁOSKIRÓW — ŻYTOMIERZ — RÓWNE — ŁUCK.
WILNO — MIŃSK LITEWSKI — ODESA — EKATERYNOSŁAW — CHARKÓW.
WARSZAWA — KRAKÓW — LWÓW — POZNAŃ.



Fot. Jan Bułhak. DZWON. *Druk Drukarni Polskiej.*

Kłosy Ukraińskie

Dwutygodnik pod kierownictwem literackiem J. Ursyna.

ROK I. Kijów, dnia 29 maja (11 czerwca) 1914 roku. № 5—6.

Z GALERJI ARTYSTÓW POLSKICH.



DWAJ OSTATNI.

Obraz Jacka Malczewskiego.

CZYJA WINA?

Często, zbyt często nawet ci, co w ten lub inny sposób są dla narodu polskiego niechętni, czynią nam zarzut krzywdy, wyrządzanej ongi ludności włościańskiej na kresach Rzeczypospolitej.

Zarzut powyższy stał się w swoim rodzaju argumentem historycznym, używanym wtedy, gdy chodzi o konstatowanie, iż wszystkie klęski, nasz upadek i hańbę zawdzięczamy niewybaczalnym błędom naszych ojców.

Bo hajdamaczyzna zadała pierwszy cios organizmowi Rzeczypospolitej i była główną przyczyną jej upadku. A hajdamaczyznę znów miał ongi jakoby wywołać uprawiany przez Polaków na kresach niemożliwy ucisk ludności ruskiej.

Czy tak było w istocie? Czy teorja o ucisku polskim jest ścisła i na historycznych danych oparta?

Na pytanie to odpowiedź wypada pocieszająca dla nas.

Weźmy do ręki dzieło najdrobiazgowszego znawcy i badacza stosunków kresowych w ubiegłych stuleciach — „Historję ruchów hajdamackich“ Franciszka Rawity Gawrońskiego. Na każdej stronicy znajdziemy tam wyczerpujące dowody, że wszystkie oszczerstwa, rzucane na polskie rządy i polską supremację na Ukrainie, są pospolitem kłamstwem, świadomie fałszywem „uogólnianiem nadużyć indywidualnych, nie będących w żadnym związku z położeniem tej ludności wiejskiej, śród której zrodził się upiór kozaczyzny — hajdamaczyzna“.



Ostatni marszałkowie Polacy na Podolu
(od lewej, do prawej strony)
Stoją: ?, Edward hr. Ronikier, Zygmunt Czerwiński, Feliks Sobański, Józef Lipkowski, Ludomir Skibniewski, Kalasanty Radziejowski. Siedzą: Ignacy Chełmiński, Walery Mańkowski, Kazimierz Sobański, Jan Sadowski, January Sulatycki, Pieńkowski.

Wbrew ogólnemu mniemaniu, sytuacja ekonomiczna i polityczna ludu ukraińskiego była o wiele lepsza, niż położenie ludu rdzennie polskiego w innych dzielnicach Rzeczypospolitej. „Wielkopolanin, Mazur, Litwin, a nawet Wołyniak — zapewnia nas Rawita-Gawroński, — o takiem położeniu nawet marzyć nie mogli“. „Jeżeli nadużycia prywatne mogą wywołać epizodyczny wybuch nienawiści, to nienawiść masową, żywiołowy ruch protestu wywołać może jedynie ucisk państwowo-ekonomiczny, pojęty jako system. A ucisku takiego nie było“.

Pańszczyzna i czynszowe władanie ziemią były formą prawno - polityczną włościańskiego stanu posiadania, jaką układ stosunków feudalnych w całej Europie i tu wytworzył. Wszechludzkie prawo silniejszego czyniło nieuniknionym podział ludności na dwie klasy: tych, którzy obrony przed napastnikiem potrzebowali i tych, którzy im tej obrony udzielić mogli. Dzięki kulturze łacińskiej, zespolona organicznie z wielką rodziną narodów zachodnich, Polska przeżyła analogiczne okresy rozwoju stosunków prawnych i ekonomicznych. A wraz z Polską — odmienne nieco acz w głównych zarysach identyczne formy przybrał i historyczny rozwój kresów.

Ale właśnie dzięki tej odmienności stała się osławiona pańszczyzna nierównie łagodniejszą w województwach Kijowskiem, Bracławskiem i Podolskiem, niż w województwach rdzennie polskich. Już w XV wieku uświadomiona przez polskich mężów stanu konieczność kolonizowania południowej Ukrainy sprawiła, iż na dzikich, wyniszczonych ustawicznymi najazdami łupieżców stepach, budzi się życie kulturalne. Dookoła ośrodków bezpieczeństwa: obronnych zamków Kijowa, Kaniowa, Czerkas, Bracławia, Baru, Winnicy i in., gromadzą się wsie i osady. Zygmunt III otrzymuje od Sejmu w r. 1590 prawo do rozdawania kolonistom „pustyń na pograniczu za Białą Cerkwią leżących“. Szereg magnatów na własną rękę kolonizuje olbrzymie obszary. W w. XVII ruch osadniczy na Ukrainie wre w całej pełni.

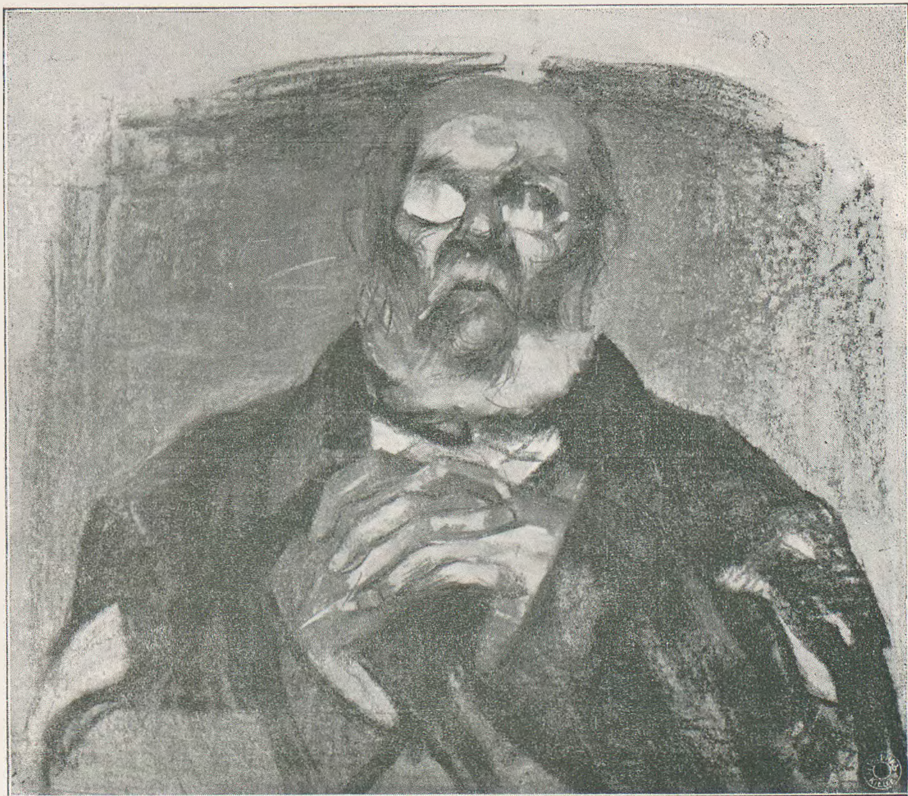
Ten osobliwy, kolonizacyjny charakter polskiego stanu posiadania w kresowych województwach Rzeczypospolitej sprawił, iż położenie włościan było tu i musiało być z natury rzeczy o wiele lepsze, niż włościan w rdzennej Polsce. Osadnika potrzeba zachęcić, by pracą swoją dziewicze jeszcze obszary do poziomu uprawnej roli dźwignął. Dlatego też wszelkie ciężary, jakie na ludności rolnej na kresach spoczywały, były minimalne.

Fr. Rawita Gawroński wylicza szereg przykładów, z których wynika, iż w niektórych miejscowościach, jak np w Żytomierskim zamku, lub w Smotryckiej dzierżawie w starostwie Kamienieckiem powinności ludności rolnej były żadne. W innych miejscowościach powinności takie i opłaty (czynsze) do uciążliwych

wcale zaliczyć się nie dadzą. Raczej chodziło o zaznaczenie przynależności prawnej poddanego do pana, niż o realne zyski.

Ale nietylko stosunki ekonomiczno-prawne na Ukrainie odznaczały się wyjątkową łagodnością. Stosunki moralne między ludem a szlachtą w większości wypadków nacechowane były patrjarchalną prostotą i życzliwością. Cytując pamiętnik Wacława Borejki, pisze p. Rawita Gawroński, że nawet w znacznie późniejszych czasach, bo w pierwszej połowie XIX wieku, kiedy dogorywająca pańszczyzna szczególnie dawała się ludności we znaki — „stosunki właściciela z włościanami opierały się na niezłomnej rękojmi „godzi się, nie godzi się“ — we wszystkich od nich wymaganiach. Jeżeli tak się działo w czasach, gdy dominująca w państwie ideologja autokratyzmu rosyjskiego czyniła poddaństwo kardynalną zasadą państwową, to jakie stosunki musiały łączyć szlachtę polską z ludem podówczas, gdy im przyświecały złote światła humanizmu polskiego, gdy między szlachtą a ludem na Rusi nie leżały cienie krwawych gwałtów i rzezi, dokonanych przez hajdamaczyznę?

Z SALONU KIJOWSKIEGO.



Modlitwa starca. Obraz Teresy Popielskiej.

Więc co—jeśli nie względy ekonomiczne—wywołało szereg fatalnych buntów i wojen?

P. Rawita Gawroński jest zdania, że odegrały w tem smutnem zjawisku rolę impulsy psychologiczne. „Chłop ruski — pisze Rawita Gawroński—zrywał się nie dlatego, że go ubóstwo gniotło, lecz na odgłos niejasnego echa. W charakterze jego i naturze tkwiły jeszcze pierwiastki koczownicze i awanturnicze, które z kilkuwiekowego życia zrodziły się. W walce z otoczeniem i sąsiadami nabierał dzikości, lekceważenia życia, lekceważenia pracy i niedbałości o przyszłość,—które czyniły z niego żywioł bardzo ruchliwy, podobny wichrom wielkim — niezadowolony, nie zawsze świadomy własnych pragnień, niezdolny do rozumnego miarkowania swoich żądań. Jako siła robocza — był potężny, jako materjał do budowy państwowej — niezdatny i nie posiadający zmysłu roztropności. Lud wiejski albo chytrze udawał uległość, albo upokarzał się wobec przemocy, jak każde społeczeństwo niewyrobione politycznie, chwiejne, młode a zapalne.

Z SALONU KIJOWSKIEGO.



Przy pracy. Obr. T. Popielskiej.

Więc czy ostać się może ów piekielny zarzut fatalnych błędów szlachty polskiej względem ludności ruskiej na Ukrainie? Czyja wina? Czy tej szlachty, która, wówczas gdy inne społeczeństwa wszelkie swe siły wytężały w walkach dynastycznych lub religijnych—szła z mieczem w jednem, a krzyżem w drugiem ręku, by złotym pługiem czynu zorać odłogiem leżące obszary kresowe? Czy też owego ciemnego ludu, który powolny atawistycznym koczowniczym impulsom, bądź rzucał się do bezcelowych a dla już osiągniętej kultury zabójczych wędrówek po kresach, bądź do strasznych wybuchów w rodzaju hajdamaczyzny?

Ludu winić niepodobna. Zbyt był ciemny, by wiedział co czyni. A szlachty polskiej winić nie wolno. Nie jest jej winą, że nie zdążyła wcielić w czyn haseł, o których marzyły najlepsze w Polsce umysły, haseł najszczytniejszego humanizmu i idealizmu.

Wina za hajdamaczyznę spada przedewszystkiem na tych, którzy Polskę w jej słonecznej kulturalnej misji zatrzymali, którzy ją obezwładnili—i na wiek cały—złamali.

ZYGMUNT MOSIEWICZ.

Kijów.



Teresa Popielska nad Dnieprem.

ZABYTKI SZTUKI NA UKRAINIE.



Brama w monasterze Pokrowskim w Kijowie. Rysował z natury J. Hollak.

Morze i Człowiek.

Morze — kocha się w nieba błękitnej źrenicy,
Zaś niebo — w słońca oku w południowej dobie:
Gdy w wieczór słońce zajdzie — to w nocy żałobie
Oczekuje kochanka — aż wyjdzie z ciemnicy.

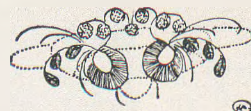
Słońce — kocha się w ziemi życiodajnem łonie:
Pod jego ciepłą dłonią pęcznieją zagony,
Młoda ruń się zieleni, wschodzą bujne plony,
Mnożą się drzewa, kwiaty i wydają wonie...

Ziemia — w swym doskonałym miłuje się tworze,
W człowieku — dla którego płody jej są darem,
Karmi go zwierząt mięsem i poi nektarem
Gron winnych, wyciśniętych o jesiennej porze.

Zaś człowiek, pan tej ziemi, jej zdobywca prawy,
Co ukochał dal siną i bezmierne Morze —
Siebie tylko ukochał — bo w fal rozhoworze
Dosłyszał na cześć swoją śpiewany: Hymn Sławy!

XAWERY GLINKA.

Hołowaniewsk na Podolu.



Pieśń ludowa.

Patrz na krynicę, co na stepie w dali
U stóp mogiły jak zdrój łez bulkoce!
W jej licu światło księżyca migoce
I promień słońca igra w czystej fali.

Tu z piersi ziemi biją wodne żyły,
Ruch fal nie kończy się i nie zasypia,
A świeża woda tysiące pokrzepia
Wiośnianych ziół, co odpływ jej okryły.

Krynica ta z żywymi strumieniami,
To ludu mego duch, co smutkiem dziś owiany,
Śpiewa do serca sercem i słowami.

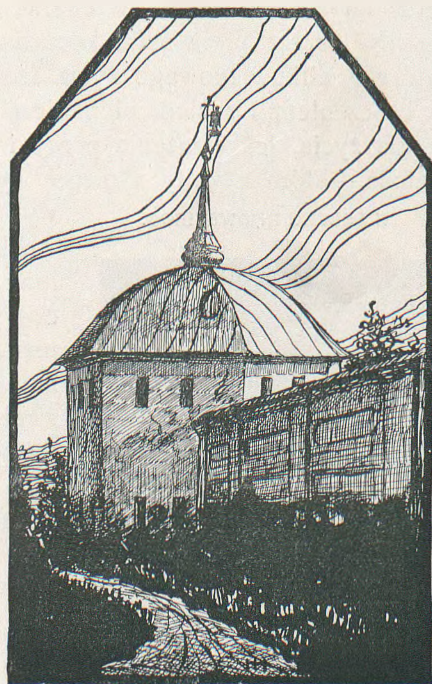
I jak początek tych strumieni nam nieznany,
Tak z ciemnych źródeł słowa te powstały,
By czystym żarem serca nam pałały.

Wiersz ten po ukraińsku napisany w r. 1874, był pierwszym moim utworem, drukowanym we lwowskiem czasopiśmie studenckiem „Druh" w numerze wydanym d. 3 (15) maja 1874 r. Przekładam go z nieco przerobionego przedruku, umieszczonego na czele mego zbiorku „Iz lit mojej mołodost'i 1870—1878", wydanego we Lwowie w r. 1913, str. 3. Przekładu na język polski dokonałem d. 16 kwietnia 1914 r.

D-r. IWAN FRANKO.

Lwów.

ZABYTKI SZTUKI NA UKRAINIE.



Brama Mazepy obok Ławry Pieczerskiej.



Rotmistrzówka pod Lipowcem w gub. Kijowskiej.
Stacja pocztowa w epoce 1860-go roku. Rysował współcześnie z natury Kazimierz Przyszychowski.

Z TEKI NIEWYDANEJ.

Ojczyzna.

Jackowi Malczewskiemu.

Innym padło w udziale plątać ludzkie dzieje,
Mnie — iść wiernie za Losem aż do lat siwizny,
Więc choć stoją otworem wszelkich dróg koleje,
Jedną tylko znam drogę — drogę do Ojczyzny.

Ktokolwiek śpieszył do Niej, skarby i oazy
Ominął, z pól korzyści nie wziął ani strąka,
Sto razy stracił wiarę, przeklął świat sto razy,
Lecz jedną w życiu pewność miał—że się nie zbłąka.

O Matko dążeń naszych! Przed południ skwarem
Pielgrzymom, unękanym w znoju, bądź ochłodą!
Spragnionym tryskaj źródły na pustkowiu szarem,

Wątpiących prowadź słupów ognistych pożarem...
A tym, co muszą paść przed Dojściem, tym co wiodą,
Ozłacaj skony ciszą serca i pogodą!

Kijów.

Ideał.

Antoniemu Potockiemu.

O najbardziej anielski śród aniołów grona
Podniebny złotopióry Ptaku przeznaczenia!...
O hydro najzjadliwsza o żądle skorpjona
Sącząca jad zgryzoty u piekieł sumienia!...

Czyli z Boga ród wiedziesz, czy z mroków otchłani,
Mienimy cię słonecznym naszych snów chorążym,
Choć co chwila himerą nową obłąkani
Spadamy w przepaść, sądząc, że nad gwiazdy dążym.

Sępie stokroć złowrogi, a jak szczęście złoty!
Lęgniesz się z ran serdecznych, z krwi naszej istoty,
Tem piękniejszy, im bardziej żywą krwią pijany.

Wiem, że w nocy, nim w pierś mą wdrążysz szpon zgryzoty
Skrzydłem, zorze wstydzącem, lecisz w kraj nieznany—
Kraść soczyste granaty z ogrodów Nirwany.

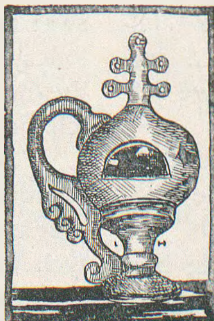
BOGUSŁAW ADAMOWICZ.



PRZESĄD i JEGO ŹRÓDŁA.

I.

Historja cywilizacji i kultury narodów i społeczeństw splata się niejako z pojęciem przesądu i jego siłą sugestywną. We wszystkich okresach rozwoju zbiorowości ludzkiej widzimy panowanie przesądu i jego wpływ potężny na życie rozmaitych warstw społeczeństwa. W zaraniu dziejów ludzkości, poprzez trzy okresy rozwoju życia ludzkiego, mianowicie dzikości, barbarzyństwa i cywilizacji, mamy do czynienia z przesądem i jego rozmaitymi objawami. Jeżeli do tych trzech okresów życia ludzkiego dodamy czwarty okres kultury, i tu widzimy też objawy liczne przesądu. Wobec tego rzec można, że dzieje ludzkości są niejako dziejami przesądu, historja rozwoju społeczeństw ludzkich przedstawia niejako historję rozwoju przesądu.



Kadzielnica gliniana z XVIII wieku.

Czynnik ten psychiczny tak dalece zrósł się z umysłowością człowieka, iż okres wysoce rozwiniętego życia umysłowego, jaki widzimy u Babilończyków, Egipcjan, Hindusów, Chińczyków i innych narodów starożytnych, a zwłaszcza u Greków i Rzymian, nie był wolny od przesądu, a nawet roztacza się tu przed wzrokiem badacza obraz ponury wszechwładztwa tego czynnika. Co dziwniejsze, że naród tak wysoce duchowo rozwinięty, naród, który stworzył kulturę najpiękniejszą, najbardziej bogatą w skarby nauki filozofji i sztuk pięknych, od którego zaczyna się właściwa nauka i filozofja, hołdował

przesądowi i to w stopniu wysokim. Mówię tu o Grekach starożytnych.

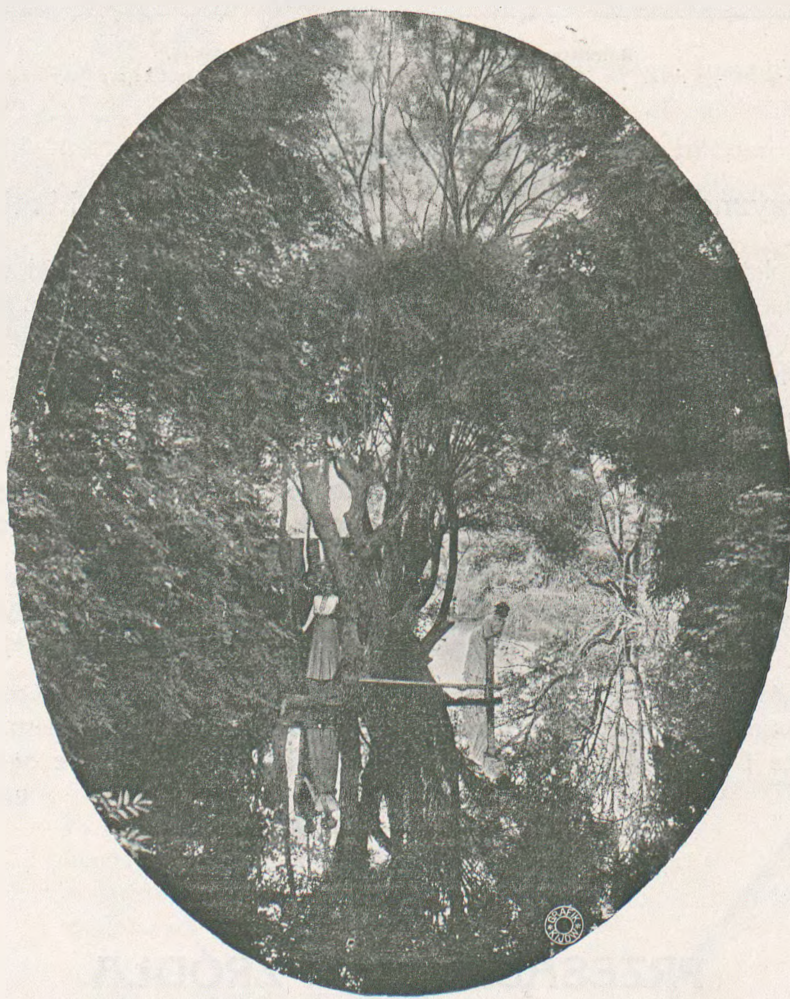
Powiedziałem, iż Grecy są twórcami nauki właściwej i filozofji, nie chcę tem ubliżać innym narodom starożytnym, które też położyły zasługi duże w sprawie rozwoju kultury umysłowej, jak naprzykład Indusi, u których, jak to wiadomo, myśl filozoficzna święciła tryumfy i odlała się w formie bardzo wykończonej. Duch filozoficzny Indusów odznaczał się głębokością i subtelnością wielką. Chciałem przez to tylko powiedzieć, że Hellenowie najbardziej celowali w tworzeniu czystej i właściwej nauki i filozofji, a może nawet naukę czystą oni pierwsi stworzyli.

Ale wracam do przedmiotu głównego pracy niniejszej.

Jeżeli przypatrzymy się życiu Greków starożytnych, zobaczymy, iż przesąd przepajał całe życie tego narodu wielkiego, przenikał wszystkie jego formy i objawy, wszędzie się wślizgiwał, do najskrytszych niejako tajników ducha się przedostawał, i wywierał wpływ przepotężny. Nauka Hellenów nie była wolna od tego czynnika, i filozofja, i religja, i sztuki piękne, i polityka, i prawo, i rozmaite urządzenia społeczne i polityczne — podlegały jego władzy potężnej. Najwięcej była oczywiście zarażona przesądem religja narodu tego, najmniej nauka i filozofja, która u Greków starożytnych stanowiła, jak to wiemy, z nauką jedną całość niezróżnicowaną. Przesąd wpływał na rozmaite formy inne życia duchowego Hellenów przez religję, a więc pośrednio, ale też wywierał wpływ i bezpośrednio na życie umysłowe narodu helleńskiego.

Jaki wpływ był potężniejszy? Prawdopodobnie pośredni, to znaczy przez religję, zważywszy tę okoliczność, że czynnik ten u Greków starożytnych, jak i u innych narodów starożytnych, odgrywał rolę bardzo doniosłą w ich życiu. Najwszechwładniej panował przesąd, rzecz oczywista, wśród warstwy ciemnej narodu tego, najmniej byli nim zarażeni filozofowie. Lecz nie było takiej warstwy lub klasy, której by nie zatruwał przesąd w mniejszym, albo większym stopniu.

Podówczas panowała atmosfera specyficzna, że się tak wyrażę, przesądu, w tej atmosferze odbywało się wychowanie całe Hellenów, nadawała ona niemal kierunek ich życiu i postępowania. Wyciskała piętno na całej ich organizacji duchowej. Mitologja była istotną częścią składową życia Hellenów. Zeus odbywał naradę z innymi bogami na Olimpie, on tu przewodniczył, jako najwyższy z bogów. Grecy starożytni zupełnie po ludzku pojmowali bogów, przypisywali im te zalety i wady, jakie mają ludzie. Myśleli oni, iż bogowie potrzebują naradzać się tak samo, jak ludzie, podlegają gniewowi, nienawiści, uczuciu zemsty, zazdrości i innym uczuciom i namiętnościom czysto ludzkim. A zatem antropomorfizm znamienował ich pojęcia religijne. Wiadomo, jakie świątynie wspaniałe stawiali Hellenowie bogom swym, jak był rozwinięty bardzo w nich kult religijny, jak kult ten wyrażał się w ofiarach rozmaitych, krwawych i niekrwawych. Wiemy, jak wielką rolę odgrywały w życiu społecznem i politycznem Hellenów wyrocznie w Delfach i Dodonie, a zwłaszcza w Delfach. Bieg cały życia społecznego i politycznego zależał od nich, tak bowiem życie to układało się, jak tego wymagały wyrocznie.



Ustronie na Wołyniu. Fot. z natury W. Męczyński.

Nadmienię tu, że Grecy większą część mitologji swej zapożyczyli, według zdania Taylora, od Babilończyków za pośrednictwem Fenicjan, a nie od Indusów. Każdy zaś przyzna, że cała mitologja grecka, ich politeizm, wyrocznie i t. d. był to przesąd.

Jeżeli od Greków starożytnych przejdziemy do Rzymian, zobaczymy tam jeszcze większe panowanie przesądu, co tłumaczy się krytycyzmem mniejszym tych ostatnich, jak również mniej głęboką kulturą umysłową. Nie widzę racji zastanawiać się nad wszystkimi objawami przesądu u Rzymian. Była ich moc. Powiem tylko, że przesąd w życiu narodu tego

Na polowaniu. Rys. Czesław Borys Jankowski.

odegrał rolę wybitną, że przenikał on rozmaite formy i przejawy życia umysłowego i potężnie splatał się z organizacją duchową p o p u l i r o m a n i.

Bez uwzględnienia w dużej mierze przesądu, niepodobna zrozumieć życia Greków i Rzymian. Psychologja przesądu daje dopiero klucz do wyjaśnienia ustroju umysłowego obu narodów.

Bez tego przewodnika napróżno byśmy szukali rozwiązania wielu zagadnień, odnoszących się do ich życia.

Jeżeli następnie przejdziemy do wieków średnich, ujrzymy zjawisko podobne, mianowicie i w tych wiekach przesąd panował wszechpotężnie, nieco wprawdzie o zabarwieniu innem, lecz pod względem istotnym nie przedstawiał różnicy dużej, nawet pod pewnymi względami wpływ jego był potężniejszy, niż za czasów greckich i rzymskich. W tym czasie atmosfera przesądu była nader duszna, gnębiła ona społeczeństwo ówczesne, nie dając mu oddychać powietrzem świeżem i czystem myśli samodzielnej. Temu stanowi rzeczy sprzyjała wielka ciemnota umysłowa, podówczas panująca. Trzeba jednak zastrzedz, że nie w całych wiekach średnich istniała jednakowo duszna atmosfera przesądu, najmniej była ona duszną w XIII stuleciu, kiedy właśnie kwitła filozofja i na ogół ruch umysłowy był spotęgowany. Za to w wiekach poprzedzających stulecie XIII i w wieku XVII przesąd przybrał rozmiary wprost zastraszające. Biednych ludzi, chorych psychicznie, uważano wciąż za opętanych przez djabła i traktowano ich nie po ludzku, wprost dziko. Objawy rozmaite życiowe natury niepożądanej przypisywano zazwyczaj wpływom szatana.

Mnóstwo objawów przesądu widzimy w wiekach średnich, lecz wyliczać ich nie ma powodu słusznego. Wspomnę tu tylko o ciekawym objawie przesądu średniowiecznego, który polegał na tem, że spleśnienie mąki przypisywano również wpływom szatańskim, a co teraz przypisujemy drobnoustrojom pewnym, zwanym pleśniami. Człowieka, na którego padło podejrzenie, że za sprawą jego djabeł zepsuł mąkę—prześladowano okrutnie.

Do zrozumienia więc ustroju duchowego społeczeństwa średniowiecznego też niezbędna jest psychologja przesądu, ona nam wyświetli dokładnie charakter ówczesnego stanu umysłów.

Panowanie przesądu nie kończy się wiekami średnimi, lecz idzie dalej poprzez wiek odrodzenia, sięga wieku XVIII, przenika w głąb XIX, potem dociera aż do stulecia XX, w którem żyjemy.

Pawołocz. KSIĄDZ JAN JAWORSKI.



Kijów byłby najodpowiedniejszem miastem dla utworzenia takiego Polskiego Towarzystwa. Członkowie korespondenci piśmienne i ustne zdawaliby tam relacje, tam czerpaliby wskazówki co do źródeł i adresy innych członków, z którymi osobiście, mieszkając w ich sąsiedztwie, mogliby się komunikować. Naturalnie, że bardziej sprężyste i owocne w działaniu byłyby lokalne stowarzyszenia, w drobnych miastach rozsiane, ale zapewne nie mogłyby powstawać z powodów natury formalnej.

Czy utworzenie takiego Polskiego Towarzystwa Badaczy Wołynia, Podola i Ukrainy jest niemożliwością? Rzucam to pytanie, mając nadzieję, że głos mój nie przebrzmi bez echa, wśród tych, którzy gorąco pragną służyć nauce polskiej w rodzinnym kraju.

ZOFJA DOMANIEWSKA.
Żytomierz. Licenciée ès lettres.



Kościół w Gniewaniu na Podolu.

O WAŻNĄ PLACÓWKĘ.

W Żytomierzu istnieje Towarzystwo Badaczy Wołynia. Należą doń prawie wyłącznie Rosjanie i Rusini. Językiem, w którym się toczą debaty, jest język rosyjski, językiem, w którym się ogłaszają drukiem publikacje, jest język rosyjski.

Towarzystwo to posiada już od lat kilku bardzo czynne sekcje: przyrodniczą i historyczną; w bieżącym miesiącu otworzyło nową sekcję—sekcję ekonomiczną. Zadaniem tej sekcji będzie opracowanie „Encyklopedji Wołynia", dzieła, zdającego dokładnie sprawę z tego, czem jest Wołyń pod względem przyrodniczym, ekonomicznym, społecznym i politycznym. Współpracownicy opierać się będą, bądź na zebranym już materjale, lub na badaniach osobistych—monografjach wsi, budżetach rodzin, danych statystycznych itd.

Z doświadczenia smutnego wiadomo, że na kresach, wśród rozognionych waśni politycznych, trudna, a nawet niemożliwa jest współpraca różnych narodowości, nawet w dziedzinie tak objektywnej, jaką jest nauka.

Polaków i Polek, posiadających wyższe wykształcenie przyrodnicze czy humanistyczne, a stale na kresach mieszkających i pragnących pracować naukowo, jest garść spora, która się przytem pomnaża z każdym rokiem.

Samotne, rozstrzelone ich wysiłki częstokroć giną na marne, bądź też słabną i zanikają wreszcie. Palącą przeto potrzebą dla tych jednostek byłoby zrzeszenie się w „Polskiem Towarzystwie Badaczy Wołynia, Podola i Ukrainy".

Towarzystwo takie powinno zawierać sekcje: historyczną, przyrodniczą i ekonomiczną. Rezultaty badań swych Towarzystwo ogłaszać by mogło w zbiorowych wydaniach, bądź samodzielnie, bądź w łączności z pokrewnemi instytucjami Królestwa, czy Galicji, bądź wreszcie w czasopiśmie, do tego odpowiedniem, jak „Kłosy Ukraińskie".



Statua św. Józefa w kościele gniewańskim.
(Rzeźba Cyprjana Godebskiego).

O WIELKIM PISARZU.

III.

W celi więziennej Kraszewski, z opisującego swoje wrażenia, skazanego na samotność i milczenie więźnia, staje się bezwiednie widzem własnej tragedji, zaczyna oczyma powieściopisarza patrzeć na siebie jak na bohatera dramatu, wytworzonego nie swoją wyobraźnią, lecz—przeznaczeniem. I tak dalej pisze:

„Los podjął się epilogu w biografji, a wcale dramatycznego, dając mu charakter tragiczny. Nie można powiedzieć, aby to rozwiązanie było nie piękne i nie efektowne. Ta cisza, poprzedzająca ostatnią scenę, ci ludzie obcy, coraz inni, a nieznajomi, którzy się kręcą, patrząc z lodowatą obojętnością na cierpienie,—często uśmiechając się ironicznie,—wszystko to, jakby ładnie ułożone, w dobrze skomponowanej powieści. Nic do życzenia...“

Po tej dygresji, znowu zwrot ku sobie, ku własnym cierpieniom i wrażeniom:

„Najmniejszego nie tylko współczucia, nie tylko cienia litości, — ale nieledwie jakaś uciecha, że ten Polak cierpi... Najmniejszego ustępstwa i ulgi przez wzgląd na wiek i chorobę. Wszystkie ciężkie warunki zbywane ruszeniem ramion:— Das mussen Sie mit in Kauf nehmen... dosłowna odpowiedź. I na tem koniec.

„Dzieci w dziedzińcu, które ta postać zgarbiona, codzień wlokąca się przez uliczkę, zabawom ich otwartą, — nudzić musi, rzucają kamykami i piaskiem, odgrażają się zdala małemi pięściami, a jeden z nich „śmielszej natury“, występuje nawet z szablą drewnianą, gotów nieprzyjaciela ojczyzny rozpłatać. Tęgi malec. Uśmiecham się, ale w sercu gorzko.

„I znowu cisza,—milczenie, — nieodgadnione jutro... Na jak długo?? Quis scit, co za górą...?“

Ponury obrazek z życia więziennego, nakreślony barwnem piórem powieściopisarza. Widzimy wyraźnie ów dziedziniec i wlokącego się przez uliczkę starca-więźnia i zgraję psotnych, urągających niedoli dzieci i tego malca, wygrażającego mu szablą drewnianą... A jakże charakterystyczne to uznanie patrjotyzmu w owym chłopcu, wyrażone przez usta znieważanego więźnia okrzykiem: „Tęgi malec!...“ Przenika nas do głębi duszy ten uśmiech nieszczęśliwego starca i równą goryczą przesiąka serce...

A dalej snuje więzień gorączkowe marzenia,—marzenia jednak kojące, bo wyłącznie ku przeszłości zwrócone.

„We śnie przerywanym, który nigdy nie trwa dłużej godziny,— nadlatujące marzenia (rzecz szczególna) nigdy nie odbijają teraźniejszości, nie sprowadzają osób bliższych, z któremi się niedawno widziało... Najczęściej przychodzą umarli, niemal oni tylko wyłącznie, i z sobą przynoszą, w formie teraźniejszości, to, co dawno, niepowrotnie dokonane, skończone i zapomniane było.

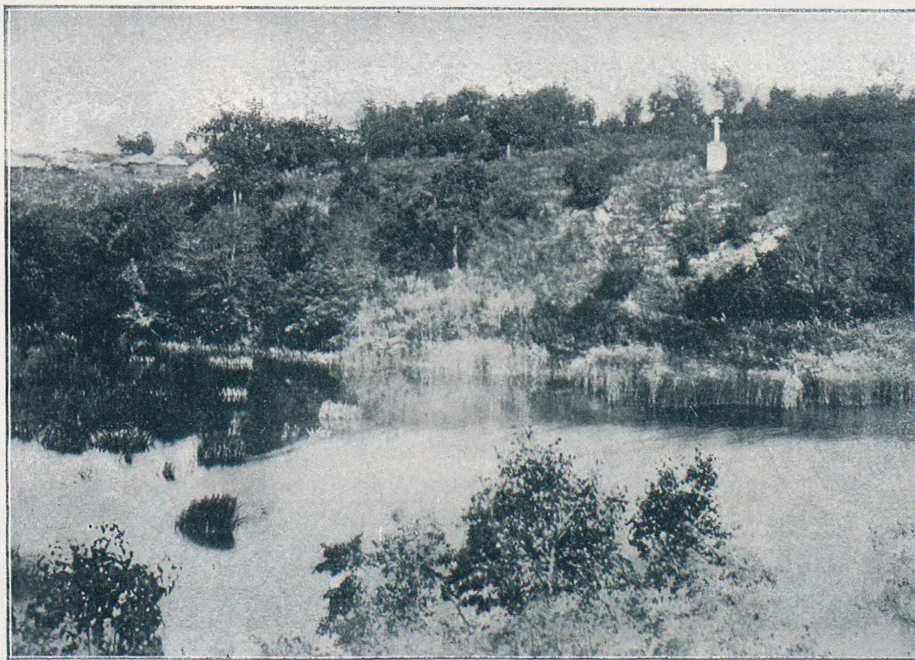
„Co kilka dni we śnie oglądam jakąś nowonabytą posiadłość, dom, majętność. Ojciec, matka, najdroższe widma przeszłości towarzyszą mi. Bolesna teraźniejszość znika, jakby jej nie było, nie ma w snach ani przypomnienia, ani poczucia obecnego położenia. Jest też istnem dobrodziejstwem, że choć we śnie zapomnieć o tem można.

„Bezdomny, bo w Dreźnie jestem niemożliwym bądźcobądź—nieustannie we snach szukam osiedlenia, domu; oglądam i targuję naprzemiany to nazbyt wspaniałe dla mnie, to zbyt szczupłe i liche... i moim obyczajem — przemyślam o urządzaniu się, o przerabianiu, o gospodarstwie nowem.

„W czasie Jubileuszu śnił mi się pogrzeb mój własny; pamiętam, żem się wypraszał od trumny, że do niej gotów jeszcze nie byłem. Teraz dokucza to osiedlanie się, o którem nie myślę, bo przed sobą nie widzę dotąd najmniejszej nadziei wyzwolenia, a siły nie wiele na przyszłość rachować dozwalają.

„W tych snach co za osobliwsza mieszanina postaci, miejsc, okoliczności, momentów, w żadnym z sobą nie będących związku. Wśród umarłych występują też znane mi tylko z nazwiska znakomitości, wielkie potęgi tego świata, — stawiąc się to przyjaźnie, to wrogo.

„Mimowolnie, przebudziwszy się, gdy zegarek wydzwania godzinę,—uśmiecham się otrzeźwiony,— znajdując się przeniesionym znowu na więzienne łóżeczko, w ciasnej izdebce, pod której oknem słychać wiekuisty, nieustający chód straży...



Kunka na Podolu
wieś między Brahiłowem a Hajsynem, gdzie do końca życia mieszkał Józef Drzewiecki, legjonista. Naprzeciw dworu, w ogrodzie, krzyż kamienny, pod którym złożone były pamiątki Kościuszkowskie z pod Maciejowic.



Na Ukrainie przy pracy. Fot. z natury W. Męczyński.

„Sen czasem wydaje się niezmiernie długi... Sądzę, że spałem godziny całe, a przekonywam się, że zaledwie kwadrans upłynął, gdy zegarek męczyłem, aby dzwonił...

„Niekiedy, przeciwnie, spoczynek się wydaje bardzo krótkim, a trwał wyjątkowo nadzwyczaj długo.

„Poczucie trwania we śnie zależy od jakichś warunków, które zbadać trudno.

„W życiu ludzkiem zagadki co krok się spotyka, rozwiązanie ich, wstyd wyznać, człowiek częściej winien przypadkowi, niż systematycznemu badaniu“ [1]).

Nie spodziewał się, pisząc te słowa, Kraszewski, że właśnie zgoła nieprzewidziany wypadek miał ostatecznie rozstrzygnąć zagadkę jego pracowitego, a w latach ostatnich tak nieszczęśliwego życia i kres mu położyć... Wypuszczony w jesieni 1886 r. za kaucją z więzienia, udał się on, jak wiadomo, do San Remo. Tu zamieszkawszy w willi Mirafiores, sprowadził z Drezna część zbiorów swoich i zaczął się urządzać, jak mu się to marzyło w snach gorączkowych w więzieniu... I wnet plany prac nowych snuć się poczęły w tym niewyczerpanie czynnym i twórczym mózgu. Tylko sił już brakło, szwankowało zdrowie, a osamotnienie i pustka coraz cięższem przygniatały brzemieniem.

Już 25 grudnia 1886, pisał do jednego z przyjaciół, bawiącego w Szwajcarji:

„Słowo Wasze przynosi tu, na pustynię, życie. Pustka straszna, a ja choć do klasztornej niemal samotności byłem i jestem nawykły, czuję to osamotnienie i brak wszelkiego związku z żyjącym światem. Łaska to więc, gdy coś przyjdzie rozbudzić. Straciłem nawet ochotę do pracy, — bo świat się nią nie interesuje, a vox clamantis in deserto — w końcu siły odbiera.

„Zdrowie moje, mimo obrzydliwej pory roku, zimnej, słotnej, burzliwej, mimo niewygód miejscowych, gorsze nie jest — ale i lepsze też trudno powiedzieć. Plułem krwią przez dni parę, teraz to ustało, zresztą zawsze toż samo... Doktór utrzymuje, że jest lepiej, — radbym to uczuł.

„Stosunki nasze społeczne, literackie, polityczne wogóle — działają rozstrajająco...

„Jest coś w powietrzu przepowiadającego jakąś niespodziewaną katastrofę, — czuje się ją jak nadchodzącą burzę, nie umiejąc wytłumaczyć dla czego...

„Miałem jechać studjować pod względem malowniczym Pompeję, ale zdrowie nie dopisało. Będę czekał. Mimo tego stanu osłabienia, mam podróże przed sobą — konieczne. Początek maja do Paryża, potem do Szwajcarji — potem już nie wiem. Potrzebuję być w Galicji“ [1]).

DN. ADAM KRECHOWIECKI.

[1]) Manuskrypt.



Wnętrze. Fot. J. Bułhak.

[1]) Mst. Jest to niedrukowany epilog „Nocy bezsennych“. Oprócz części pierwszej tych „Nocy“, ogłoszonej w r. 1887, wydrukował „Tygodnik Ilustrowany“ część drugą pod tyt.: „Wspomnienia i fantazje“ w r. 1889, jednakże bez powyżej przytoczonego zakończenia.

Z SALONU KIJOWSKIEGO.



Archanioł Gabrjel.
Witraż J. Mehoffera. Fot. L. Matjas.

KŁOSY.

Zerwane leżą kłosy,
Złocisty leży snop,
Lśnią na nich krople rosy
I mienią się te kłosy,
Mieni się złoty snop.

Hej, zbożne są te kłosy
I ziarna pełne są.
Ścięły je równo kosy—
I leżą złote kłosy,
Co ziarna pełne są.

I dziś na naszej ziemi
Wyrasta nowy kłos,
Z ziarnami on złotemi...
Na naszej żyznej ziemi
Zbożny wyrasta kłos.

ANDRZEJ PORĘBSKI.

Kijów.

Na Ukrainie.

Leci z mogił na równiny
Modroskrzydły wiatr stepowy,
Błyszczy rzeki lazur siny,
Wierzby nad nim chylą głowy.
Biała mgła nad jar się zwiewa,
Drzemią wioski, kruki kraczą—
A przy drodze lirnik śpiewa
Starodawną pieśń kozaczą...

Noc nawiewa tęskne dumy,
Jak się niegdyś żyło, śniło,
Zda się z Dniepru ślą swe szumy
Tawołżany i Budyło... [1])
Drży w powietrzu cudne granie,
Wschodzi księżyc jasnolicy,
Zda się niesie wiatr wołanie
Z Tomakówki i Chortycy... [2])

«Hej, ty orle! Stój, nieboże!
Hej, ty orle, królu—ptaku!
Czyś nad Dnieprem latał może?
Czyś ty był na Czarnym Szlaku?
Powiedz, czy tam żyje jeszcze
Bratni, dzielny duch praojców?
Czy tam dotąd sławią wieszcze
Swych pancernych? swych mołojców?".

»Bracie!... cisza w Ukrainie...
Lecz tu ziemia... sama śpiewa—
Spiewa stary Dniepr gdy płynie
Wtór mu grają łąki, drzewa!
I witając wschód księżyca,
Spiewa bujny wiatr jarami,
I rusałka białolica
I zielony gaj za mgłami...

«Na mogile stań tam wiosną,
Duch przeszłości cię owieje,
Orle skrzydła ci urosną
I uniosą... w dawne dzieje!
Dawnych dni uczujesz tchnienie
Z dawną wiarą i kochaniem!
Nieśmiertelne ujrzysz cienie...
Pierś ci wzbierze wielkiem łkaniem
Z żalu—po tem, co nie wraca,
Co się w głębi mogił kryje
A wspomnieniem żal ozłaca
I po wieki w sercach żyje!...»

ADA KONECZNA.

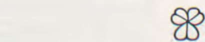
Głuchów.

[1]) Tawołżany i Budyło dwa ze znaczniejszych porohów dnieprowych.
[2]) Tomakówka i Chortyca — „ostrowy", wyspy dnieprowe, na których ks. Dymitr Wiszniowiecki zgromadził lud dla obrony.

Z SALONU KIJOWSKIEGO.



Archanioł Michał.
Witraż J. Mehoffera. Fot. L. Matjas.



Nim bzy przekwitną.

Minie wszystko, nim się zaczerwieni
w sadzie krzak róży,
nim wiosenny krótki i radosny
dzień się wydłuży.

Minie wszystko, zanim lipy w pszczołach
staną u płota—
— pożądanie, i miłość, i męka,
gniew, i tęsknota.

Może jeszcze prędzej wszystko wpadnie
w tę mgłę błękitną...
Może—jutro, jutro o tej porze...
Nim bzy przekwitną.

I. K. IŁŁAKOWICZ.

Lwów.



Zacisze. Fot. z natury J. Bułhak.

ZGUBA.

Był kwiecień. Taki wyzłocony, jak maj.

Szły już od dni kilku wiosny podmuchy — wonne, ożywcze, jakąś tajemną rozkoszą przesiąkłe.

Wprawdzie droga, wiodąca do podmiejskiego „zacisza“, wyglądała jeszcze smutnie — szaro i brudnie, jeszcze znaczyły się na niej wielkie plamy zimy, tej niechlujnej pół-zimy, niwelującej wszelką barwność życia—ale do dusz ludzkich już się wdzierały potężne upojeń przeczucia, już się w nich budziły coroczne hymny odrodzenia.

Bo dusza ludzka pierwsza w całym wszechświecie, pierwej nim pierwiosnki, nim jaskółki, nim całe słońca i ziemi rojne a barwne potomstwo — odczuwa moc, i ból, i czar, i radość—życia.

I gdy w drętwocie zimowej śpią jeszcze wszystkie zarodki motyli, much, komarów, ciem, bąków, fijołków, bzów i konwalji — w duszy ludzkiej grają już miłośnie księżycowych, parnych nocy rozśpiewane fletnie...

A v e... a v e... Słońce!

*

W wytwornym samochodzie jechało ich troje: pani Ada, pan Albert i pan Tadeusz.

Rozradowani, weseli, jechali za miasto, ażeby pierwszych drgnień wiosny zakosztować.

Była to „kwietniówka“ — w całem tego słowa znaczeniu. Pan Albert piastował na kolanach pudełko cukierków, pani Ada tuliła do łona butelkę „Pommery“, wziętą z domowej piwnicy — dla oszczędności. Obiad postanowili zjeść na miejscu, w restauracji.

Z wielkim impetem zajechali przed letni przybytek uciech prozaicznych.

Powitał ich zastęp znudzonych bezczynnością kelnerów—trochę zaspanych i trochę nawet zdumionych tak wczesną wizytą gości. Pokoje i gabinety, urządzone specjalnie dla półcieniów nocnych, wyglądały ordynarnie. Ale dla pani Ady miały ogromny — urok nowości.

Z chichotem wybrała pokoik najbardziej słoneczny, z pianinem i haniebnie porysowanem lustrem, a tymczasem jej małżonek, pan Albert, ze smakoszostwem b o n v i v e u r'a zaczął wyszczególniać kelnerowi m e n u obiadu.

— Dajcie nam rzodkiewki!—wołała pani Ada—koniecznie! .. i sałaty!

Pan Tadeusz rozwijał pudełko cukierków, które właściwie było jego „wkładką“ do uczty— i przedewszystkiem prosił o wytarcie kurzu ze stołów i krzeseł.

Po chwili pani Ada, zrzuciwszy kapelusz i rękawiczki, wybiegła na ganek restauracyjny, pełna jakiejś radości rozmarzającej. Pan Tadeusz poszedł za nią. I tak we dwoje zeszli do ogrodu i, nic nie mówiąc, szli obok siebie po ślizkich ścieżkach, wśród czarnych jeszcze gałązek podmiejskich brzóz i akacji.

Jak gdyby to było z góry umówione, dążyli ku samotnej, dalekiej altanie, gdzie bluszczowe zwoje na szkielecie drzewnym miały się dopiero rozwinąć w przyszłości.

A teraz było tam tylko dużo, dużo słońca. Uwydatniało ono wszystkie plamy na malowanych czerwono, z łozy plecionych kanapkach, i całą pospolitość stołu, zabrukanego restauracyjnemi tłuszczami.

Pan Tadeusz z lubością przypatrywał się pani Adzie—jej twarzyczce jasnej, jej kibici smukłej, a jednak soczystej, jej ruchom nęcącym, takim jakimś dziwnym i miłym a oszałamiającym, że chciałoby się je chwytać ustami z powietrza.

— Czego mnie tak badasz?—zawołała nagle pani Ada z pewnem zawstydzeniem kobiety, która wie o czarach swego ciała, lecz tę swoją świadomość instynktownie ukrywa. — Czym się tak bardzo zmieniła?

— Bynajmniej — odparł półgłosem: jesteś taka sama jak dawniej.

— Kiedyśmy się bawili w krokieta? — rzuciła z żywym rumieńcem na twarzy.

— I kiedym ja pisał do ciebie wiersze...

Spojrzała mu w oczy marząco, jakby napół przytomnie.

— A jednak tyle zmian zaszło w mojem życiu!—szepnęła po chwili.

Coś, jakby przeczucie niedoznanych rozkoszy, jakby tajemny puls krwi, zdławiło mu gardło.

Pani Ada bujnemi włosami otoczoną głowę wzniosła ku niebu.

— Jak ci się podoba Albert? — spytała prawie obojętnie.

— Jest zupełnie przyzwoity...

— Jest przedewszystkiem bardzo, bardzo dobry!... Wziął mnie takiem dzieckiem, rozmarzonem, rozkapryszonem, rozpoetyzowanem...

— Już dziś taką nie jesteś?

Zbladła i przygryzła wargi.

— Dziś taką być... nie mogę! — odparła.

Przerwali powtórnie rozmowę.

A po chwili donośny głos pana Alberta wezwał ich z powrotem, na obiad.

Pan Albert czekał na werandzie rozpromieniony.

— Chodźcie prędzej!—wołał—głodnym jak wilk! Wyobraźcie sobie, uda-

ło mi się zdobyć wyborne menu! Prędzej! prędzej!

I zapraszał ich szerokim ruchem ręki i rozkosznym uśmiechem na pulchnej a jowialnej twarzy.

Pan Albert nie był wcale stary, ale nie był również pierwszej młodości. Jego cała ruchliwa, gruba postać nosiła piętno szczerości i prostoty, z pewną wszakże dozą parwenjuszowstwa.

— Będziemy mieli pyszny obiadek, dalibóg, łapki lizać!—mówił, zasiadając do stołu i zawiązując sobie na szyję serwetę.—Pocałujesz mnie za to, Adziu!

I pierwszy zachęcał swoje towarzystwo do spożywania darów bożych, nałożywszy sobie na talerz pełną łyżkę kawioru.

Wszystko troje jedli z apetytem, mało co mówiąc. Panowie obficie popijali starką, a później, wspólnie z panią Adą, winem francuskiem.

Dopiero przy pieczystem rozmowa zaczęła się ożywiać.

— Wracasz pan, kochany kuzynie, prosto z Włoch?— zapytał pan Albert, zwracając się do Tadeusza.

— Tak, panie, prosto z pod południowego nieba, z Wenecji.

— Ach, Wenecja! Wenecja!—zawołał pan Albert.—Cudne miasto!... Tam się zrodziła i tam, zresztą, umarła moja pierwsza miłość!.. Ha! ha! ha!... nie obrazisz się o to, Adziu? — dodał, kokieteryjnie mrużąc oczy.

— Bynajmniej—odparła.

I z pewnem lekceważeniem wydęła wargi.

— Byłem niegdyś także włóczęgą — ciągnął dalej pan Albert— w bardzo młodym wieku... Rozumiesz pan: ojciec dawał, dlaczego nie miałem jeździć? Dzisiaj już mi się nie chce... Doprawdy, tak mi dobrze w domu!

Mówiąc to, sięgnął po dłoń pani Ady i złożył na niej przeciągły pocałunek.

Podano deser.

A jednocześnie otworzono butelkę z domowej piwnicy pana Alberta.

Napełniły się płytkie puhary.

Panowie, wbrew przykazaniom wielkoświatowym, nie czekając na kawę, zapalili zaraz cygara i mówili w dalszym ciągu o Wenecji. A pani Ada rozparła się w fotelu i głowę odrzuciła w tył, na niską poręcz.

Miała wypieki na twarzy, jakieś nierówne, niby porwane w strzępki. Oczy utkwiła w sufit i tak spoczywała — niema.

Do gabinetu zamiejskiej restauracji wpadały ostatnie promienie kwietniowego słońca, staczając nierówną walkę z płonącym na stole świecznikiem, którego światła dygotały po każdym kłębie cygarowego dymu. W niewielkim pokoiku panowała atmosfera jakaś duszna, narkotyzująca...

Przy kawie i likierach, pan Tadeusz powstał i zbliżył się do pianina.

— Prosimy! prosimy!—zawołał pan Albert.— Należy się nam deser... muzyczny!

Pan Tadeusz zagrał tango, w którem drga cały akt kochania— od spojrzeń aż do śmiałego zwycięstwa, aż do gubienia się i zatracania w upojnej a uległej wizji.

Pan Albert rozpiął szeroko swój żakiet, wyciągnął nogi przed siebie, i uśmiechając się, przymknął powieki. Pani Ada podparła głowę dłonią i patrzyła w okno.

A tymczasem po płomiennem tango popłynęły serenady, gondoljery, nokturny — i pan Albert zasnął...

W gabinecie ściemniło się i żółtawe blaski świec coraz wyraźniej drżały na białym obrusie i niedopitych resztkach zielonego likieru.

Nagle pani Ada zerwała się z fotelu i podbiegła do pianina.

— Nie graj tego!

I oderwała mu dłoń od klawiszów.

— Dlaczego?

— Bo nie chcę.

— Przypomina ci przeszłość?

— Tak...

Usiadła obok niego na małem krzesełku i poczęli gorączkowo mówić szeptem.

— Wspomnienia sprawiają ci przykrość?

— Boję się ich.

— Tak, chcesz zapomnieć!— syczał z ironją gryzącą.— Co ci tam! Któraż z was pamięta? Któraż z was zachowa choćby wdzięczność za te nasze dla was porwane dni, za te nasze męki!...

Spojrzała mu w oczy z lękiem. Wargi jej się zwolna rozchyliły.

A on chwycił mocno obie jej ręce białe i ścisnął w swych dłoniach.

— Powiedz — szeptał — czy ty pamiętasz?...

— Co?... Nie, nie!.. nie chcę o tem myśleć!

— Wyszłaś za mąż... i kochasz męża...

Rzuciła pośpieszny, niespokojny wzrok na Alberta, który spał jednak mocno z pochyloną na bok głową.

— ....

— Życie pędzisz szczęśliwe...

— ....

— Masz wszystko?...

— Wszystko...

Nachylił się ku niej i szeptał ze złością:

— A to wszystko dawne zamarło! Wystygłaś! Nie masz w duszy nic, nic! Malowana lala! Wystarcza ci Al-



Góry nad Wilenką w śródmieściu. WILNO. Fot. z natury J. Bulhak

bert ze swem chrapaniem i ze swą psią miłością!

Pani Ada zbladła. A po chwili krew zalała jej skronie. Ręce jej długie, drżące, opadły bezwładnie na kolana Tadeusza. Cała jej postać zakołysała się, jakby pod tchnieniem wichury. Chciała powstać, szukać ucieczki od tych słów złych, brutalnych—i dwie wielkie łzy, jak dwa ogromne pytania, jak dwa ogromne odbicia wspomnień, obrazy, pożądań i skruchy zaszkliły się ku niemu swą wilgotną, mieniącą się, zagadkową głębią. Ogarnął go szał.

Chwycił ją w pół. Nie wiedząc co czyni, począł pić chciwie z jej oczu gorących słodką rosę budzącej się w zorzach rozkoszy. A potem, w uścisku, w upojeniu, wyniósł ją— wiotką, tulącą się—na podmuch wiosny...

. . . .

Gdy się pan Albert przebudził ze swej drzemki, pani Ada siedziała już na fotelu obok niego, zawinięta w okrycie, skulona, cicha, jak skarcone dziecko, bezwładna...

— Co? i ty spałaś? — zawołał pan Albert, poprawiając krawata. — Powietrze dziwnie upaja!.. Ale co robi Tadeusz?... gotów się na nas obrazić!

Pan Albert wybiegł na werandę, a gdy po chwili powrócił z panem Tadeuszem, wszyscy troje zdecydowali, że czas już wracać do domu.

I oto niebawem pędzili znowu we troje wytwornym samochodem: pani Ada, pan Albert i Tadeusz.

Wieczór już był. Od lasów i pól dął wiatr, a wraz ze słońcem, znikły wonie pierwszej wiosny... Było zimno, ciemno, posępnie, jak gdyby dziś zgoła słońce nie świeciło, jak gdyby cała młoda wiosna runęła nagle w przepaść.

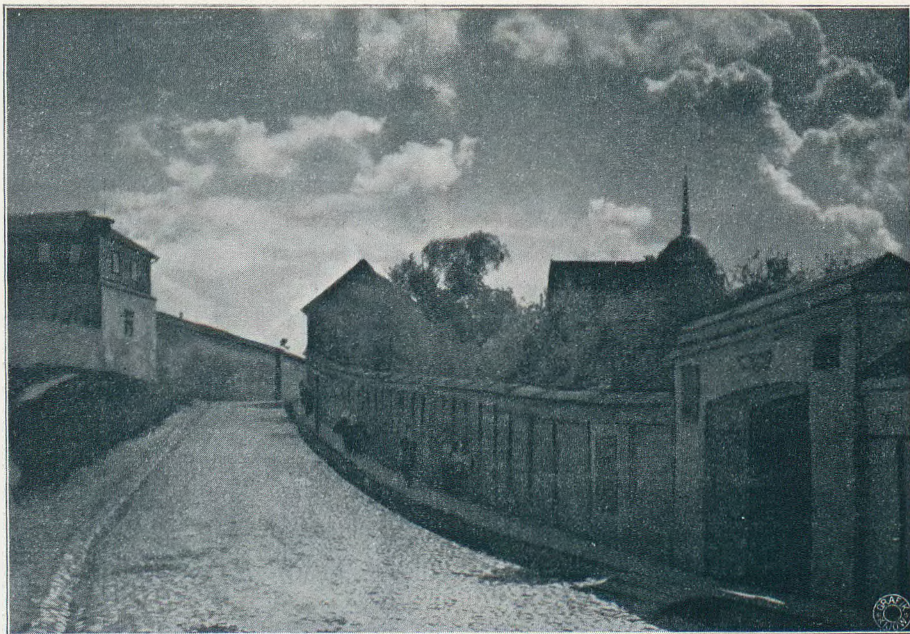
Pani Ada, milcząca, wtulona w przytulne oparcie powozu, instynktownie skostniałą rękę oparła o ramię mężowskie.

. . . .

Nazajutrz, prawie o świcie, pan Tadeusz otrzymał list.

„Całą noc przez Ciebie nie spałam —pisała pani Ada. — Proszę Cię, jedź zaraz t a m... I szukaj mojej zguby. Stała się rzecz okropna. Albert nie daruje mi tego. Zgubiłam wczoraj broszkę, która jest klejnotem jego rodziny. Zmiłuj się! Nie mogę zrobić Albertowi takiej przykrości!“

Kijów. J. SKIERKA.



Ulica Bakszta. WILNO. Fot. z natury J. Bułhak.

DWA PRĄDY

(Dostojewski i Turgieniew).

Jedna z wielkich firm wydawniczych w Niemczech zapowiada wydanie korespondencji, dotychczas nigdzie niedrukowanej, znakomitego powieściopisarza rosyjskiego Dostojewskiego.

Listy autora „Zbrodni i kary“, rzucające światło na charakter jego, mają ukazać się w Monachjum w roku bieżącym.

Jeden z listów Dostojewskiego, wyjaśniający stosunek jego do innego znakomitego przedstawiciela literatury rosyjskiej, mianowicie do Turgieniewa, pisany z Genewy w 1867 r., został ogłoszony w monachijskiem wydawnictwie „Almanach“ na 1914 r. List ten, pisany do poety rosyjskiego Apollona Majkowa, jest niejako wyznaniem wiary słynnego autora „Zbrodni i kary“. A jednocześnie niemiłosiernem i surowem potępieniem Turgieniewa i całej ówczesnej, postępowej partji rosyjskiej.

W 1867 r. Dostojewski przyjechał był do Genewy z Baden-Baden, gdzie grał i przegrał wszystko co posiadał. Zwraca się więc do Majkowa z prośbą o pomoc materjalną i wyratowanie go z przykrego na razie położenia. Opisuje Dostojewski w swym liście naprzód o niepokoju i gorączce, jaka owładnęła nim w domu gry, poczem w następujący drastyczny sposób opisuje swoje stosunki z Turgieniewem, podczas swego pobytu w Baden-Baden:

„Gonczarow codziennie mówił mi o Turgieniewie. Długo wahałem się, czy złożyć mu wizytę, wreszcie byłem zmuszony to uczynić. Powiem panu otwarcie, że nigdy nie miałem wielkiej sympatji dla tego człowieka. Najgorszem było to, że od 1857 r. byłem mu winien 50 talarów, pożyczonych mi w Wiesbadenie, a których dotychczas mu nie zwróciłem...“

„Nie mogę znieść jego arystokratycznej a jednocześnie faryzeuszowskiej pozy, z jaką cię obejmuje, nadstawiając policzek do pocałunku. W sposób bardzo nieprzyjemny stara się nadać sobie powagi. Szczególnie jego „D y m“ najwięcej mię zirytował. Powiedział mi sam, że zasadniczą myślą i punktem wyjścia tego dzieła było zdanie: „Gdyby dziś Rosja zginęła z powierzchni ziemi, nie byłoby to bynajmniej stratą dla ludzkości, która nie spostrzegłaby tego nawet....“ „Widzisz pan, — dodał Turgieniew, — co myślę o Rosji...“

„Spostrzegłem, że jest w bardzo złym humorze. Powodem tego było niepowodzenie „D y m u“.

„Przyznaję się, — pisze dalej Dostojewski, — że nie znałem jeszcze wówczas wszystkich szczegółów jego klęski. Co prawda, pisałeś mi pan o artykule Strachowa w „Roczniku Patrjotycznym“, lecz nie wiedziałem, że i inne gazety napadły na niego, i że nawet w pewnym klubie w Moskwie zebrano podpisy, w celu zaprotestowania przeciwko

„Dymowi". Opowiedział mi o tem on sam. Nigdy bym nie sądził, żeby człowiek mógł być tak naiwnym i nietaktownym, aby odkrywał sam rany, zadane miłości własnej. I ludzie ci przechwalają się jeszcze poza tem wszystkiem swoim ateizmem! Mój Boże! Wiara w Boga została nam udzielona przez Zbawiciela — upostaciowanie ludzkie tak szlachetne, że nie można o niem pomyśleć nawet bez poszanowania i w którem należy upatrywać odwieczny ideał ludzkości!"

„I cóż nam dali owi Turgieniewy, Herzeny, Utiny i Czernyszewskije? Zamiast boskiego piękna, na które oni plwają, widzimy w nich próżność tak wstrętną, pychę tak nikczemną, że należy zapytać się, czego się oni spodziewają, kto ma być ich następcami?"

„Podnosi on (Turgieniew) głos w straszny sposób przeciw Rosji i Rosjanom. Zauważyłem pewną rzecz, że wszyscy liberali i postępowcy, którzy wyszli ze szkoły Bielińskiego, znajdują przyjemność i zadowolenie w krzyku przeciw Rosji.

„Jedyna różnica między nimi, że adherenci Turgieniewa otwarcie przyznają się, że życzeniem ich jest ujrzenie Rosji pogrzebionej, podczas gdy inni twierdzą, że ją kochają. A tymczasem nienawidzą oni to wszystko, co jest właściwością ich ojczyzny, i z rozkoszą czynią z niej karykaturę. Gdyby im przedstawiono choćby jeden jedyny fakt, któremu by nie mogli zaprzeczyć ani obrócić go w śmieszność, czuliby się bezwątpienia bardzo nieszczęśliwymi, zirytowanymi i wprost zrozpaczonymi."

„Zauważyłem również, że ci wszyscy, którzy, jak Turgieniew, mieszkają oddawna zagranicą, nie mają pojęcia (pomimo, że czytują gazety) o tem, co się dzieje w Rosji, zatracili zupełnie zmysł spostrzegawczy i zrozumienie swej ojczyzny, do tego stopnia, że nie są w stanie zrozumieć faktów najzwyklejszych, jakich nawet nihiliści nie zaprzeczają. Mówił mi Turgieniew, między innemi, że powinniśmy tarzać się w prochu przed Niemcami, gdyż istnieje tylko jedna powszechna i niezawodząca droga: cywilizacja niemiecka.



Mury b. klasztoru św. Michała. WILNO. Fot. z natury J. Bułhak.

„Ale wszystkie usiłowania do osiągnięcia własnej, rosyjskiej cywilizacji nazywa on głupotą i świństwem. Mówił mi jeszcze, że napisze wielki artykuł przeciw rusofilom i sławianofilom. Poradziłem mu, aby sprowadził sobie z Paryża dużą lornetę. Po co? —zapytał mię... „Przestrzeń jest zbyt wielka,—odpowiedziałem mu,— skieruj pan objektyw w stronę Rosji, gdyż inaczej nie zobaczysz pan nic absolutnie."

„Turgieniew rozgniewał się. Gdym spostrzegł, że jest bardzo zły, powiedziałem mu z udaną naiwnością: „Nigdybym nie sądził, że wszystkie te niekorzystne sądy o panu i o pańskiej ostatniej powieści przyczynią się do utraty pewności u pana, aż do tego stopnia! Mój Boże! Cała ta sprawa nie warta, abyś się pan nią aż do tego stopnia wzruszał. Pluń pan na to!..." „Ależ ja się nie wzruszam zupełnie, cóż pan sobie myślisz"?—odpowiedział mi Turgieniew czerwieniąc się. Poczem rozstaliśmy się w sposób bardzo uprzejmy. Ja zaś poprzysiągłem sobie, że nigdy moja noga więcej nie postanie u niego.

„Nazajutrz rano, o godz. 10-ej punktualnie, Turgieniew zjawił się w mojem mieszkaniu i przysłał bilet wizytowy. A że poprzedniego dnia oświadczyłem mu, że nie jestem widzialny przed dwunastą w południe i że mam zwyczaj sypiać do godziny 11-ej, zrozumiałem więc, że jego wizyta o godz. 10-ej rano oznaczać ma, iż nie pragnie mnie więcej widzieć. Podczas długich siedmiu tygodni następnych raz jedyny spotkaliśmy się na dworcu. Spojrzeliśmy się na siebie, ale żaden z nas nie ukłonił się..."

„Sposób, w jaki panu piszę o Turgieniewie, i afronty, jakieśmy sobie czynili, być może, wywołają w panu przykre wrażenie, lecz, mój Boże! cóż robić, inaczej nie mogę. Zanadto zranił mnie on swemi przekonaniami. Osobiście nie czuję się dotkniętym, lecz nie mogę słuchać spokojnie, jak zdrajca rosyjski znieważa swój kraj, podczas gdy mógłby mu być pomocnym. Jego niskie pochlebstwo względem Niemców i nienawiść do Rosjan już poprzednio, przed czterema laty, zwróciły moją uwagę. Dziś widzę, że złość jego i wściekłość wypływają jedynie z niepowodzenia „Dymu," a przedewszystkiem z powodu, że w Rosji nie uważają go za genjusza. Jego ambicja jest zraniona i to jest właśnie najohydniejsze w nim..."

Powyższy list znakomitego pisarza rosyjskiego dobitnie charakteryzuje z jednej strony zaciętą i bez pardonu walkę jaką toczyły ówczesne obozy rosyjskie: nar.-zachowawczy i liberalny, z drugiej strony rzuca cień na osobisty charakter autora „Zbrodni i kary". Z jego własnych wynurzeń w liście do Majkowa przekonywujemy się, że Dostojewski był zapamiętałym graczem, a na domiar złego, niesłownym i lekkomyślnym dłużnikiem...

Sądząc z wysoce znamiennej i ciekawej treści powyższego listu, można przypuszczać, że i inne listy znakomitego, bądź co bądź, romansopisarza, który głęboko odczuwał duszę rosyjską, będą niezmiernie interesujące i rzucą światło na ówczesne stosunki wśród najwyższej inteligencji rosyjskiej.

ST. CIESZKOWSKI.

„Bałszem".

Reb Mendel Abusz wybierał się do Ameryki. Odradzałem mu, przedstawiając wszystkie trudności, z jakiemi będzie musiał walczyć i może nie zwyciężyć nigdy.

— Nikt nie wie, gdzie szczęście znajdzie—odrzekł mi na to filozoficznie.—Bałszem kazał mi jechać do Ameryki.

Gdy myślałem nad tem, co mu odpowiedzieć, Reb Mendel zapytał mię nagle:

— Wie pan, co to jest Bałszem?

— Nie, nie wiem.

— Nu, to ja panu powiem. Bałszem to święty człowiek, to taki rabin—ciągnął Reb Mendel Abusz z namaszczeniem—nie taki, co, jak zwykle bywa, gdy do niego kto mówi, to on milczy, brodą kiwa i pomrukuje, ale taki co wszystko wi, wszystko!... co kogo czeka, co z kim się stanie... on wszystko wi... A pan wi, dla czego?—utkwił we mnie szeroko otworzone pytające oczy.

— Nie wiem—odpowiedziałem.

— On z Bogiem rozmawia — rzekł poważnie — a Pan Bóg jemu wszystko powiada.

— Dla czego?—spytałem mimowoli.

Nastąpiła chwilka milczenia. Mendel Abusz widocznie namyślał się, co ma powiedzieć. Cmoknąwszy ustami, rzekł wreszcie:

— Widzi pan... Pan Bóg nie może z każdym rozmawiać. Nie może powiedzieć: Jankiel, źle rachujesz, Srulu, gorzałkę fałszujesz, Icku... bierzesz a nie oddajesz... nu, to Pan Bóg mówi przez usta Bałszema. Choć Pan Bóg wie za co karze, ale czasem przecie zlituje się i swoje słowo odwoła.

Słuchałem milcząc, a Reb Mendel podniecony nieco opowiadał dalej:

— Każdy człowiek ma koło siebie dwa anioły: jednego dobrego, drugiego złego. Ten zły to ciągle na niego nastawia pazury i chce utrapić, a ten dobry powiada: nie, jeszcze nie czas. U Pana Boga dla każdego człowieka jest duża waga: na jedną stronę kładzie się to co un zrobił dobrego, a na drugą co zrobił złego. Obydwa anioły pilnują tej wagi. Jeżeli złe przeważy, musi umrzeć, nic nie pomoże.



Brama domu na ul. Zamkowej. WILNO. Fot. z natury J. Bułhak.

— A cóż to ma za związek z tym rabinem, o którym pan mówiłeś?— spytałem.

— Z tym rabinem? Ma, niech no pan tylko słucha

Pogładziwszy brodę i wąsy, ciągnął dalej:

— Otóż, widzi pan, ten Bałszem wi od Pana Boga wszystko, co tam w górze postanowiono, a co on powie, to święte, sprzeciwiać się jemu nie wolno.

...Raz tak było:

Przed samemi Trąbkami u nas zjeżdżają się żydzi do synagogi. Nu, to taki dzień. Oni modlą się do Pana Boga, płaczą i rozmyślają o tem, że umrzeć trzeba. Przyjeżdża dużo husytów, pan wie, takich co mają długie pejsy, noszą jarmułki, papucie... nu, to u nich tak napisano, ale jak się który bardzo zbogaci, to może zostać nawet baronem. Ja sam znałem takiego barona. Jeszcze dziad jego to tak się skrobał w jarmułkę, że aż fe! No, i co pan powie? teraz wnuk nazywa się „pan baron..." i taki wielki pan, aj waj!

Reb Mendel począł pocmokiwać ustami na dowód państwa pana barona.

Spostrzegłszy, że ja uśmiechnąłem się na owo wielkie państwo, rzekł z przekonaniem:

— Pan śmieje się, ale to wszystko prawda... to nie jest gadanie sobie... to wszystko stoi zapisane.... jak pan nie wierzy, to ja panu pokażę...

Zatrzymał się nagle, zmiarkowawszy, że zgubił wątek opowiadania, i po chwilce ciągnął rzecz dalej:

— Między tymi husytami, co jechali na Trąbki, był dziad teraźniejszego barona... taki bogaty, taki bogaty, aj waj! Czego un nie miał! I kamienice, i pola i propinacje, wsiów kilka i jedno miasteczko, w którem porobił takie mikwy, gdzie różni panowie, co byli chorzy, za pozwoleniem, kąpali się. A pieniądze, to u niego korcami leżały...

...Ot, miał on już jechać na Trąbki do tego miasteczka, gdzie mieszkał Bałszem i spieszył się ażeby się nie spóźnić, aż przychodzi do niego biedna kobieta, taka biedna, że aż strach. Miała ona siedmioro dzieci i sama musiała je wyżywić, bo mąż umarł.

Ot, przychodzi ona do niego i powiada:

— Daj mnie trochę pieniędzy, ażebym mogła choć przez tych kilka dni dzieci wyżywić. Ty masz dużo.

On rozgniewał się i pomyślał sobie:

— Cóż z tego że mam! Ja na to propinację trzymam, abym miał. Czy wszystko rozdać, czy co!



Z Ogrodu Cesarskiego w Kijowie. Fot. z natury W. Męczyński.

A do tej biednej wdowy mówi:

— Przyjdziesz po świętach. Widzisz, że już siedzę na wózku.

A Pan Bóg to wszystko słyszał.

Pojechał sobie ten husyta do miasteczka, a nie wi, co się tam w górze dzieje.

Jak ten żyd, niby dziad barona, tak powiedział, tak ten zły anioł, co pilnował jego, powiada do dobrego:

— Halt! koniec! Szojn! przeważyła waga... un musi umrzeć!...

A tamten dobry anioł powiada:

— Warte noch... Zanim się waga zreguluje, on może się jeszcze poprawi.

Widzi pan jaki wun mądry!

...Nu, pojechał ten żyd do miasteczka i idzie do tego rabina, niby do Bałszema, a wun, jak jego zobaczył, tak się w niego wpatrzył, nie wita się, nic, tylko ręką kiwnął i krzyknął:

— Uciekaj! Uciekaj!

Ten przestraszył się i myśli sobie:

— Jakto... uciekaj? Gdzie? Dokąd? Którędy? Poco?

Ale co Bałszem powie, to musi być. Wszystko to trzeba zrobić. Nie wolno z nim rozmawiać wtedy ani wypytywać.

Husyta zmiarkował, że to pewnie od czegoś złego uciekać trzeba, nawrócił konia i pojechał zpowrotem do domu.

Jedzie un taki smutny, taki zgryziony, że aż strach. Przyjeżdża do jednej karczmy, aż tam spotyka się ze znajomymi husytami, którzy na Trąbki do miasteczka jadą.

— Gdzie ty jedziesz? — pytają go.

— Nie wiem. Bałszem powiedział mi jedno słowo: uciekaj, ale nie powiedział ani dokąd, ani dla czego. Muszę go słuchać. Może Pan Bóg zlituje się nademną.

Tamci husyci piją, rozmawiają, a on siedzi taki smutny, że aż strach.

Przyszła pora odjazdu. Husyci powiadają do niego:

— Jedź z nami.

— Jak ja mogę jechać, kiedy Bałszem powiedział mi: uciekaj!

— Ale un tobie nie powiedział: nie wracaj!

Bardzo się rozradował husyta na te mądre słowa.

Siedli i pojechali razem.

Ot, jadą oni i jadą, a jemu znowu tak jakoś paskudnie zrobiło się na sercu, bo ciągle sobie myśli: czemu ten Bałszem powiedział: uciekaj?

Przyjechali do miasteczka. Idą do Bałszema, a temu husycie to się aż serce trzęsie.

— Co un mnie powie?—myśli sobie.

...Ot, przyszli oni wszyscy razem do Bałszema, a wun na żadnego husytę ani spojrzał, tylko na tego, co się wrócił. Popatrzył na niego wesoło i powiada:

— Pan Bóg zlitował się nad tobą. Było tobie napisano byś umarł na Trąbki. Gdyś wyjeżdżał z domu, Pan Bóg ważył twoje grzechy .. i przeważyły. Zły anioł już był nastawił na ciebie pazury, ale dobry począł prosić: Panie Boże, pozwól mu trochę jeszcze pożyć, on się poprawi!

Pan Bóg powiedział:

— Poczekam. Zobaczę, czy on pierwej powie dobre słowo, czy złe. Ty powiedziałeś dobre... i Pan Bóg zlitował się nad tobą.

— I cóż pan myśli—dodał z naciskiem — ten sam husyta został później baronem, a wnukom jego Pan Bóg błogosławi.

— Na propinacji—dodałem.

— Na mikwie —poprawił Reb Mendel Abusz.

— Przecież ci baronowie zostali później gojami, zatem wyrzekli się Jehowy?

— Co to szkodzi... Oni mają duszę naszą.

Nie oponowałem Reb Mendlowi.

Ale opowiadanie to nie przekonało mię bynajmniej, iż do Ameryki jechać nie trzeba.

— Cóż to wszystko znaczy?—spytałem z uśmiechem.

— Nu? — rzekł tonem zdziwionym. Pan się śmieje?.. Nikt nie wie, gdzie szczęście znajdzie— odpowiedział sentencjonalnie. — Któżby domyślał się, że z propinatorskich bachorów barony wyrosną? Takie im Pan Bóg dał szczęście. I mnie Bałszem powiedział, bym do Ameryki jechał. Muszę go słuchać.

I pojechał... Może wróci baronem?

Lwów. ST. WIGURA.



Józef Węgrzyn, art. Teatru Polskiego w Warszawie, w „Jasełkach" Or-Ota.

Z WYPRAW MYŚLIWSKICH.

W tajdze Ołonieckiej.

I.

Już prawie przygotowany byłem „a faire mon deuil“ z misiów moich tegorocznych, gdyż nie mogłem żadną miarą wyruszyć z domu przed dniem 15 stycznia starego stylu... A gdym przyjechał do Petersburga po 15-ym, trafiłem na rzadki „pech“: — zastałem telegram od znanego pogromcy niedźwiedzi, z dalekiej północy, starego Martjanowa: „zwieri powstawały z barłogów; ośm stopni ciepła...“ Ośm stopni ciepła w strefach prawie podbiegunowych, w czasie kiedy na południu Francji i w Neapolu mrozy i zawieje!... Świat do góry nogami przewrócony, aura jakby zakażona jakimś „tangizmem“!

Mój niejednokrotny towarzysz wypraw myśliwskich, najmilszy i najsympatyczniejszy pan Aleksy Rubinsztein, który o dni dziesięć przedtem, zaraz po polowaniach Wierzchowieńskich, wyruszył do lasów Ołonieckich, gdzie mieliśmy się zjechać i razem polować — powrócił był właśnie w tym czasie do stolicy, zniewolony roztopami iście wiosennemi...

Przywiózł z sobą siedm niedźwiedzi, z których jeden, wagi szesnastu pudów — wspaniały czarny okaz samca. Zdobycz ta omal katastrofą się nie zakończyła—i li tylko swej zimnej krwi mój przyjaciel zawdzięcza pomyślny obrót tej całej imprezy...

Oprócz trofeów, dzielny kolega przywiózł: wór cały prawdziwie bajkowych opowiadań o drogach rozpławionych w śniegach, jak w syropie, o przeprawach przez jeziora z omal nie przełamującym się lodem, tragiczną relację o spotkaniu się z potworem na barłogu... i silną influenzę.

Załatwiwszy bieżące interesy w Petersburgu, wracam jak niepyszny do rodzinnej ukraińskiej siedziby, biorąc przyrzeczenie Martjanowa, że zawiadomi mię telegraficznie o ewentualnych, choć bardzo problematycznych, barłogach niedźwiedzich.

Powiedział stary weteran, oszczepnik, po miejscowemu „rohatczyk“, że w ciągu ośmdziesięciodwuletniego żywota — raz jeden tylko, przed czterdziestu laty, widział coś podobnego. Słabe więc nadzieje!

Na Ukrainie coraz cieplej — już pierwsze gęsi i skowronki zawitały! już prędko i o tokach wiosennych myśleć wypadnie! Wrodzona jednak „trzeźwość i rzeźwość“ praojców nie każe tracić fantazji. Kto wie?

Raptem depesza ztamtąd: — „Spadły wielkie śniegi; szukamy!“

W parę dni potem: „Jest jeden na barłogu, drugi „chodowoj“ (przechodni, osaczony). Proszę przyjeżdżać“.

Błyskawiczny odjazd z domu — komfort „Luxus - zugu“ Kijów - Petersburg — dusza myśliwego wśród lampjonów elektrycznych w pociągu marząca o zielono-białych mrokach lasów północy — jeden dzień spędzony w stolicy dla niezbędnych zakupów, zupełnie „incognito“, zdala od neurastenicznych, chorych warunków jej życia... Wieczorem dworzec kolei Północnej, stara zdezelowana lokomotywa z czasów imć pana Stefensona, zapach dymu drzew brzozowych — trema oczekiwań myśliwskich, rój przeczuć w duszy i sercu, błogie ukojenie całego jestestwa, statecznie powolny bieg pociągu, jak mara sunącego śród puchów ogromnych bieli śniegowych — i wreszcie wylądowanie na stacji Zaborje, przy kilkustopniowym mrozie, o zorzy porannej...

Rącze koniki, po parze w orczyk zaprzężone, oczekują na mnie i na mego służącego, dzielnego i wiernego Maksyma. A teraz — sto pięćdziesiąt wiorst drogi do osady „Szym-Oziero“, powiatu Lodejnopolskiego, w której rezyduje sławetny ród Martjanowych, rohatników i niedźwiedziarzy de re et nomine z dziada pradziada!

□ □ □

Wyśmienita „ucha“ z nalimów, spożyta w gronie rodziny Martjanowych z doskonałym apetytem, znanym tylko nam, braciom Nemrodowym, cisza i spokój z brewion złożonej siedziby, opowiadania iście homeryczne o spotkaniach ze zwierzem i o polowaniach przeróżnych, szczególnie na niedźwiedzia ..

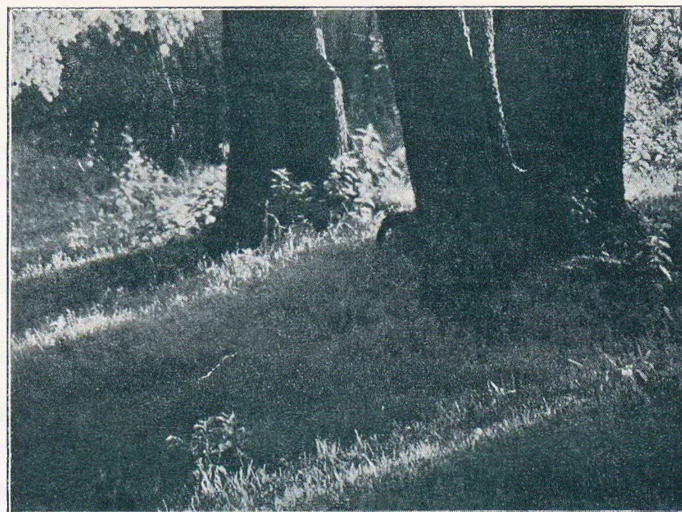
Muszę zatrzymać się na opisie tych słynnych, na dalekiej północy, rohatników. Należą oni do plemienia, zwanego Czud', inaczej „Czuchary“, mają swój zupełnie odrębny język, całkowicie odmienny od rosyjskiego. Są to mieszańcy Finnów z Pomorzanami, którzy ongi, za czasów carów moskiewskich, szczególnie za Piotra Wielkiego, osiadłszy w Archangielsku, jako potomkowie dawnych Normandów—tych „ludiej torgowych“, kłusowników i kondotjerów morskich, galerami swemi z Europą prawie jedyne stosunki handlowe utrzymywali.

Z nimi to, w mrokach historycznych dawnej Moscovji, prowadził handel Nowgoród, owa Rzeczpospolita, której wiecze, czyli parlament ówczesny, li tylko z ludzi „mądrych“ i „bywałych“ się składał. Car Kołokoł nieraz i praojców Martjanowa na posiedzenia owe zwoływać musiał!... Mój Boże! i pomyśleć, że antenaci tych dzielnych ludzi, co to dziś jedynie cieciorki i jarząbki sidełkami po lasach chwytają lub na barłogach niedźwiedzi biją — przed laty traktowali bezpośreduio z Radą Dziesięciu, z dożami królowej Adrjatyku, Wenecji, i nieraz konferować musieli wśród arcydzieł sztuki Palazzo ducale, pod cieniem kampanilji św. Marka i Logetty Sansovina!



Powrót z polowania na niedźwiedzie.
(Adam hr. Rzewuski ze swymi towarzyszami),

Sic transit gloria... Lecz i potomków tych prastarych rodów los nie zupełnie skrzywdził! Żyjąc wśród rodzimej świerczyzny, w ciągłych wyprawach myśliwskich znajdują ukojenie potężne, do którego my dorywczo tylko i rzadko dotrzeć możemy. Wyrabiają więc w sobie tę tężyznę ciała, ten hart duszy, tę pogodę umysłu, prymitywną uczciwość i prostotę—której niemasz wśród ludzi, z Matką Przyrodą nieobcujących!



Las. Fot. z natury J. Bułhak.

Tajga bezgraniczna zaludniona jest dla nich nie tylko zwierzem i ptactwem. Pełno w jej głębiach legend i bylin o „bohatyriach", djabłach i czarownicach, z któremi nieraz walczyć wypada, o rusałkach zielonookich w toniach przejrzystych jezior żyjących, które wabią powabem czarów piekielnych „dobrych mołodców" w zdradzieckie swe ramiona, na to tylko, żeby ciała ich grzeszne w kryształach wód zimnych utopić, w trzęsawiskach udusić, kroplę krwi ostatnią z nieziemską rozkoszą wyssać...

Raz do roku wychylają się dziarscy myśliwi Północy ze swych mroków leśnych—na świat Boży szeroki. Wiozą swą zdobycz z tysiącami par zaduszonego ptactwa, z tysiącami jarząbków, których później życiem sterane istoty, w szykownych restauracjach Petersburga, Paryża i Londynu spożywać będą ze znudzeniem;—wiozą stosy całe skór rozmaitych, któremi później, pełne newrozy i zdrady, ciała syren współczesnych otulać się będą—sercu ciepła nigdy nie dając!

Pojawiają się wtedy rosłe, barczyste postacie, o jasnych włosach i dziecinnych oczach, na targach dorocznych w Tychwinie, Czerepowcu, Kargopolu, i na ulicach gwarnego Petersburga, gdzie na tak zwanym Szczukinym Dworze i na Gostinnej ulicy—koncentrują się ryczałtowe tranzakcje „na dzicz i puszninę..." Zbywszy swój towar, pokręcą się trochę wśród zgiełku i gorączki miejskiej, i hajda! z rozkoszą napowrót do swych izb „brewienczatych", do dzieciaków o płowych główkach, do szerokich kominów, ogniem olbrzymich smolaków buchających, do bieli śniegów, do nieskomplikowanych ludzko-zwierzęcych stosunków, do swobody ciała i duszy, do tajgi rodzinnej!

Te dni pobytu wśród zgnilizny kultury wielkomiejskiej są zbyt krótkie, żeby ślady ujemne na nich pozostawiać miały, lecz za to dają im naukę pewnego taktu i poloru —pewną „bywałość", pewną umiejętność obcowania z ludźmi sfer najrozmaitszych, której napróżno-byś szukał wśród innych dzieci Przyrody.

Tacy Martjanowowie, naprzykład, nieraz towarzyszyli w wyprawach łowieckich osobom sfer najwyższych, książętom krwi i monarchom, różnym duszącym się w splenie beznadziejnym bogaczom-neurastenikom, sportowo tresowanym Anglikom, ruchliwym Amerykanom, ugrzecznionym poddanym Habsburgów i blagującym Francuzom...

Dziwić się tylko, doprawdy, należy, dla czego rząd rosyjski, biorąc przykład z kolonjalnych posiadłości innych państw, nie wprowadził jeszcze dotąd żadnego opodatkowania od każdej sztuki zabitego, szlachetnego, a tak już dziś rzadkiego zwierza. Amatorów sportsmenów, ludzi zamożnych, chętnych do uiszczenia takiego podatku, zawsze się znajdzie liczba znaczna, a kto nie chce, lub nie może, to niech poluje na szaraki i skowronki, co nawet, stanowczo, zdrowiej i bezpieczniej.

Prawda, że dotąd jeszcze olbrzymie lasy gubernji Wołogodzkiej, Ołonieckiej, Archangielskiej i Permskiej — to tajga, co na parę tysięcy wiorst, począwszy od powiatu Tychwińskiego, aż do tundry Samojedzkiej ramieniem swem potężnem biedną tę glebę otula; — prawda, że przy rzadkiem zaludnieniu, przy braku wszelkiej, w niektórych zakątkach, komunikacji — przez długie jeszcze lata byt misiów, rysiów i krwiożerczych magnatów rodu ptasiego, głuszców królewskich—jest zapewniony. Lecz wszystko się wyczerpuje na tym biednym świecie, wszystko maleje i niknie w końcu! Kraj się kiedyś pokryje siecią kolei, padną pod siekierą i piłą olbrzymy leśne, mchami i liszajami okryte. Chciwość ludzka wyssie z tej ziemi co tylko będzie mogła, nic albo bardzo niewiele potomkom zostawiając.

Tymczasem, uregulowawszy prawa od strzału, wprowadziwszy choć byle jaką ustawę łowiecką, obecnie zupełnie nieistniejącą, na co się sami „promyszlenniki" żyjący z łowiectwa uskarżają — na bardzo długo udałoby się zatrzymać te skarby dzisiejsze Natury.

Taka choćby rodzina Martjanowów, w dobre lata, po 20—30 tysięcy sztuk duszonego ptactwa: jarząbków, głuszców i cietrzewi,—dla zagranicznego eksportu, do Petersburga dostawia. Co poczną ci ludzie, przy urodzajach 5—15 pudów z dziesięciny marnego owsa lub żyta, gdy kiedyś zabraknie materjału do polowania?

Obecnie tylko ogrom obszaru jako tako ratuje ptaka i zwierza. Sami myśliwi mówią jednak, że coraz bardziej trzeba się dziś w puszczę od domu zagłębiać, ażeby z dobrym rezultatem „zwierowanja" powrócić. Niedawne to jeszcze czasy, gdy północ gub. Nowgorodzkiej roiła się literalnie od niedźwiedzi i grubego zwierza, a nawet dalsze okolice Petersburga dawały znaczną ilość pierwotnych łowów. Dzisiaj w pobliżu stolicy trzeba zapłacić 30—35 rubli za pud „ursusa"—i to najczęściej będącego w posiadaniu „okładczyków" typu chuligańskiego. Pod samem miastem, co prawda, co raz więcej jest terenów sportowo-kulturalnych, dzierżawionych przez kółka myśliw-

skie oraz przez osoby prywatne. Roi się tam od bażantów i zajęcy, lecz to znowu co innego. Taką ucztę może sobie wyprawić pierwszy lepszy „sontagsjäger“ i pod fortyfikacjami Paryża, pojęcia niemający o tej świętej „virginité de la Nature“, dla której my, prawdziwi myśliwi, nie żałujemy środków i czasu, zdrowie i życie swoje narażając, byle choć kropelką, z jej przeczystych źródeł płynącą, pragnienia swe atawistyczne zaspokoić. I nie wspaniałych trofeów szukamy nawet często. Ileż to razy głuszec, z trudem niezmiernym na toku poleskim zdobyty, skromny „ciecieruk“ w okiście śniegowej, z chytrością Irokeza, z drzewa na podjeździe „spuszczony“, dame au long bec, słonka tajemnicza, w purpurach zachodu od celnego strzału drgająca — ileż to razy podobny skromny fragment życia myśliwskiego dawał i daje prawdziwym synom Nemroda, dzieciom przestrzeni świetlanych, nie mniej radości od padłego z ręki magnata-miljardera tygrysa w dżunglach Indji, słonia na czarnym kontynencie, niedźwiedzia w ostępach bezbrzeżnych!... We wszystkich tych wypadkach, zachodzi różnica skali tylko — rdzeń zaś przyczyn: ukochanie Matki Przyrody, poczucie harmonji barw i dźwięków Natury, rozkosz upajania się cudną symfonją, tężyzna ducha i ciała— zawsze i wszędzie, i na wieki wieków, te same!

I póki istnieć będą źródła szczęścia tego, dopóty żyć warto. I ciężar szarzyzny dni naszych i ciernie zgryzot, zwątpień i rozczarowań, rany serca i duszy lekkiemi będą, i życie... nie straszne.

Wierzchownia. ADAM Hr. RZEWUSKI.



Adam Napieralski.

(Z powodu 25-cio letniej pracy obywatelskiej).



Tak niedawno jeszcze, bo dwadzieścia pięć lat temu — a czem-że w dziejach narodu jest ćwierćwiecze — myśl narodowa w starej Polsce, na Szlązku, słabym zaledwie świeciła płomieniem. Lud, styranizowany rządami pruskimi, nieśmiały i nieoświecony, nie czuł, że tętni w nim krew piastowska.

Wówczas to zjawił się na Szlązku Adam Napieralski, młody, energiczny, wykształcony, twórczy, choć nieznany jeszcze pisarz—i tchnął ducha w te zamarłe narodowo, wielotysięczne rzesze Piastowe. Zjawił się z ideałem utworzenia po polsku myślącego i działającego ludu, i ideał ten przyświeca mu do dzisiaj w niezmordowanej, zdawałoby się—przechodzącej siły jednego człowieka pracy.

Czego przed nim nie dokonał wysiłek dziesiątków ludzi, ożywionych najlepszemi intencjami — tego dokonał Adam Napieralski, odrodziciel Szlązka.

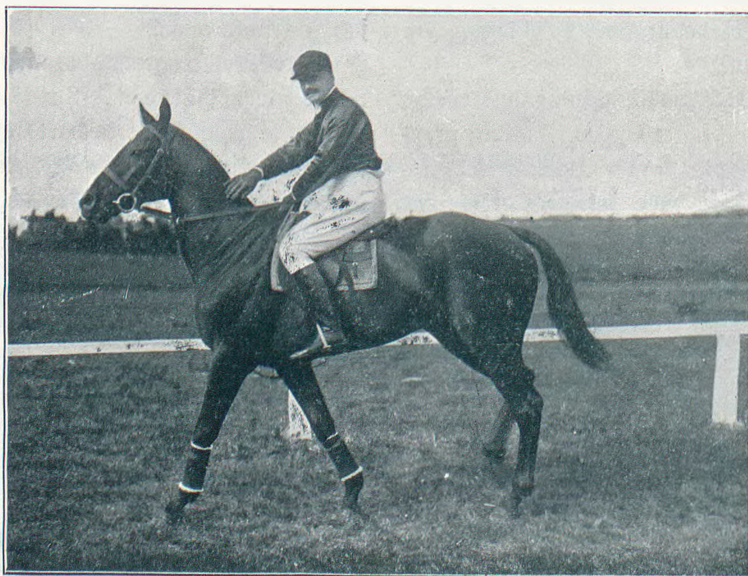
Licząc się z twardą rzeczywistością, ale z niezłomną wiarą idąc do celu, dzisiejszy jubilat zabrał się przed dwudziestu pięciu laty do pracy cichej, przezornej, ostrożnej i dobrze obmyślanej, kierowanej prawdziwym rozumem politycznym. Zaczął od pisania artykułów do „Katolika“, którego później stał się redaktorem, ułożył kilka piosenek, dzisiaj ogólnie na Szlązku śpiewanych, pisał powieści patrjotyczne dla ludu, a wszystko pisał tak jasno i zrozumiale i tak szczerze obywatelski duch z każdego jego słowa płynął, że w przeciągu krótkiego czasu zdobył sobie setki tysięcy najwdzięczniejszych czytelników wśród ludzi, stawiających pierwsze zaledwie kroki na drodze ku odrodzeniu narodowemu.

I to, o czem marzył Poeta, stało się udziałem dzisiejszego jubilata: pieśń jego życia, zaklęta w słowa szczere i proste, zabłąkała pod strzechy wieśniacze, zabłąkała do izb robotniczych— i zagościła tam na zawsze!

Ale na tem Adam Napieralski nie ograniczył swej działalności. W roku 1889 założył pierwszy, nie tylko na ziemiach polskich, ale i w Niemczech, Sekretarjat Robotniczy, wraz z organizacją robotniczą pod nazwą: „Związek wzajemnej pomocy“, gdzie tysiące robotników polskich doznały obrony i pomocy materjalnej, a jednocześnie uczyły się pracy społecznej dla siebie— przez siebie. Dzisiaj Związek ten liczy 15 tysięcy członków.

Jednocześnie rozwijały się liczne Banki Ludowe, założone przez Napieralskiego, w których ludność polska składa swe oszczędności, z nich czerpie pożyczki na zakup ziemi, na przedsiębiorstwa rzemieślnicze i handlowe, stając się coraz mniej zależną od Niemców i wzmagając swe siły materjalne.

Jako wydawca, rozwinął Napieralski na Szlązku wprost bajeczną działalność. Z pod jego redakcji wychodzi dzisiaj w różnych punktach Szlązka Górnego



Tadeusz Dachowski
znakomity jeździec wołyński brał świeżo udział w wielkich międzynarodowych konkursach hippicznych w Marburgu, gdzie zdobył wielkie uznanie.



Teresa Popielska
utalentowana artystka-malarka kijowska.

kilkanaście czasopism. Jego zakłady drukarskie w Bytomiu i Mikołajowie są największymi zakładami drukarskimi na ziemiach polskich i wypuszczają corocznie tysiące tysięcy egzemplarzy najprzeróżniejszych pism, broszur i książek, wśród których są również najwytworniejsze wydawnictwa ilustrowane.

Skutki pracy Napieralskiego, skutki otworzenia ludowi na Szlązku oczu na jego przeszłość i na zadania na przyszłość—okazały się wprost zdumiewające. Kiedy w roku 1888 lud szlązki oddał przy wyborach zaledwie 40 głosów, w roku 1893, a więc w pięć lat później, posłał do urny 44.175 wyborców, a w roku 1907 miał już w Berlinie pięciu swych posłów, wśród których i Napieralskiego. Ale odrodziciel Szlązka, aczkolwiek zwrócił zaraz na siebie uwagę w gremjum parlamentarnem, zanadto zrósł się z swą pracą wśród ludu. W roku 1912 nie przyjmuje już mandatu poselskiego i wraca na ukochane zagony górnoszlązkie — do dalszej pracy. Chwilowo rozszerza swą działalność na sąsiednie Szlązkowi Zagłębie Dąbrowskie, gdzie wydaje wspólnie z dzisiejszym kierownikiem „Kłosów Ukraińskich“, panem Janem Ursynem, popularny, robotniczy „Kurjer Zagłębia“, a jednocześnie ma dość czasu i energji, by służyć Krakowowi, gdzie otwiera tani tygodnik „Pracę“ i staje się współwłaścicielem „Głosu Narodu“.

Wybitny umysł, ogromna energja, płomienny patrjotyzm, ofiarność czynna, równowaga myśli, celowość zamierzeń—to cechy główne Adama Napieralskiego. Jest on, bez zaprzeczenia, jednym z najdzielniejszych i najrozumniejszych synów Polski. W historji naszego rozwoju narodowego imię Adama Napieralskiego zapisane będzie złotemi, zaprawdę, zgłoskami — w n a j p i e r w s z y m r z ę d z i e, wśród mężów najbardziej zasłużonych Ojczyźnie, najgłębiej odczuwających tragedję obecnego bytu naszego, najracjonalniej szukających ratunku w ciężkich opresjach, najszczytniej wznoszących podniosły sztandar prześwietnej polskiej tradycji.

Miłością, nie nienawiścią — wyrozumiałością, stałością przekonań i stałecznością ideową — przebija mężnie Napieralski mnogim rzeszom twardych i mocnych Szlązaków ciernistą drogę ku odrodzeniu. I za to mu cześć. Bo powiódł Szlązk cały — zasobny, twórczy, fabryczny Szlązk,—ku i s t o t n y m s z c z y t o m—nietylko olbrzymiej odporności narodowej, ale i ku szczytom wyższym i głębszym. Imieniem Polaka chlubi się dziś każdy Szlązak — i przed tem imieniem skłania się dzisiaj z szacunkiem trwożnym — nawet pikelhauba pruska.

Cześć Napieralskiemu!

▫ ▫ ▫

Kazimierz [illegible].

— Wychowaniec najwytworniejszej kultury Zachodu, utalentowany malarz, literat, dramaturg, dyrektor teatru... odpowiedziałem, kiedy zapytano mnie o autora „Dzikich pól“, sztuki, wystawianej w sezonie ubiegłym na pierwszej scenie w Warszawie.

Kazimierz Dunin-Markiewicz, bo tak nazywa się autor „Dzikich pól“, syn „bujnej Ukrainy“, ziemianin, współdziedzic rodzinnego majątku Żywotówka w powiecie Lipowieckim — mało jest znany w szerszych kołach własnego społeczeństwa, choć na dalekim Zachodzie zdobył uznanie i sławę.



Najpierw Kazimierz Dunin-Markiewicz dał się poznać jako malarz, zwracając na siebie uwagę ogólną na wystawie powszechnej w Salonie paryskim w roku 1900. Wkrótce potem wystawia w Zachęcie warszawskiej, gdzie obraz jego „Bajka Świętojańska“ doznaje dużego powodzenia.

Paryż, w którym artysta mieszka i pracuje od chwili ukończenia uniwersytetu w Kijowie, jest pierwszym mistrzem, prowadzącym go do sławy. Po kilkoletnim jednak pobycie nad Sekwaną, młody artysta żeni się powtórnie, tym razem z Irlandką, również malarką, córką baroneta Gore Bootha, siostrzenicą księcia Westminsteru, a siostrą znakomitej poetki irlandzkiej.

Żona pociąga męża do Dublinu, gdzie artysta zdobywa wkrótce wielkie powodzenie, jako wzięty malarz. Instytucje artystyczne zakupują jego niepospolite płótna: „Municipal modern Art Gallery“ wciela do swych zbiorów portrety Georgesa Roussela i Georgesa Coffey'a; do pałacu królewskiego zakupują obraz Kazimierza Markiewicza „Wieczór w Irlandji“, odznaczony na wystawie w Corku. Portrety: O'Briena, ministra sprawiedliwości, oraz kilku lordów, zwłaszcza zaś wielkie płótno: „Inwestytura orderu“, z portretami 68-u osób ze świata urzędowego, zdobywają p. Markiewiczowi prawdziwą sławę.

Jednocześnie bujną naturę artysty pociągnęło malarstwo dekoracyjne, przedewszystkiem sceniczne—i od tej chwili teatr zaczyna porywać go i otaczać gorącą swą atmosferą. Już w roku 1907 p. Markiewicz wchodzi jako reżyser i kierownik artystyczny, do teatru „Repertory“ w Dublinie.

Syn Ukrainy zaczyna tworzyć i pisać po angielsku, zaczyna wystawiać swe sztuki na scenach „Abbey“ i „Gaiety“. Sztuki te nietylko mają powodzenie w Dublinie, lecz sława ich przedostaje się do Anglji. Utwór „Memory of the dead“ („Pamięci poległych“) podbija publiczność, jest bowiem przeniknięty potężnem uczuciem patrjotyzmu irlandzkiego. Grają go kilkaset razy na różnych scenach. Spotykają autora wszędzie pełne entuzjazmu owacje. Potem idą inne sztuki: „Seymours Redemption“ (ze stosunków parlamentarnych w Anglji),—„Rivals Stars“ utwór osnuty na tle życia cyganerji paryskiej, tragedja p. t. „Lustere“, malująca żywot ludu na zachodnich wybrzeżach Irlandji i w in.

Jako kierownik i dyrektor teatru, odkrył popularnego dziś w Anglji autora Georgesa Birminghama, który napisał sztukę p. t. „Eleanors Entreprise“, wystawił dzieła Shawa, Coppéego, Maeterlincka, Ibsena, Strindberga itd.

Po tryumfach na obczyźnie, pragnąc odetchnąć atmosferą ojczystego kraju, rzuca pan Kazimierz Dunin-Markiewicz w styczniu r. b. kierownictwo teatru, i wraca na Ukrainę, aby swym wytrawnym pędzlem odtwarzać uroki ziemi ojczystej.

▫ ▫ ▫

Juljan Sędzikowski.

Znany w Kijowie artysta-muzyk, p. Juljan Lubicz-Sędzikowski, w dniu 14 maja r. b. obchodził 25-letni jubileusz pracy pedagogiczno-muzycznej.

Jubilat urodził się w 1859-ym roku, w zacnym domu ziemiańskim, w pow. Berdyczowskim, we wsi Białej, która po roku 1863-cim uległa konfiskacie. Kształcił się w Białej Cerkwi i mając 22 lata zaczął uczęszczać na lekcje muzyki do kijowskiej szkoły muzycz-



Juljan Sędzikowski.

nej, do klasy prof. Puchalskiego. Po kilkuletnich studjach, rozpoczął działalność pedagogiczną w szkole muzycznej pani Chudiakowej w Kijowie, a później przeniósł się do Ekaterynosławia, gdzie przez lat siedem prowadził własną szkołę muzyczną i brał bardzo czynny udział w życiu społecznem miejscowej kolonji polskiej. Powróciwszy do Kijowa, stał się tutaj p. Juljan Sędzikowski jednym z najlepszych, najstaranniejszych i najsumienniejszych nauczycieli gry fortepianowej. Liczni jego uczniowie i uczennice zajmują dziś wybitne stanowiska.

Na uroczystość jubileuszową p. Juljana Sędzikowskiego nadeszło przeszło sześćdziesiąt depesz z Kijowa, Warszawy, Petersburga, Odesy, Kaukazu i Uralu. We wszystkich tych depeszach przebijała nuta głębokiego uznania dla zasług jubilata, nuta szczerej wdzięczności i dobrej pamięci. Na uczcie jubileuszowej w hotelu Continental wygłoszono szereg toastów. Uczniowie jubilata wręczyli mu żeton pamiątkowy.



Z ŻAŁOBNEJ KARTY.

Ś. p. ZOFJA JANKOWSKA.

W Nicei zmarła ś. p. Zofja z Zamarajewów Jankowska, żona znanego artysty-malarza i ilustratora, Czesława Borysa Jankowskiego, a siostra redaktora Jana Ursyna-Zamarajewa.

Ś. p. Zofja Jankowska urodziła się w Warszawie, w roku 1861-ym. Po ukończeniu słynnej podówczas pensji żeńskiej Izabelli Smolikowskiej i zdaniu egzaminu państwowego, została nauczycielką matematyki w warszawskich żeńskich zakładach naukowych. W roku 1887-ym wstąpiła w Krakowie w związek małżeński z Cz. B. Jankowskim, a od roku 1889-go zamieszkała wraz z mężem na stałe w Pa-



ryżu. Tutaj ś. p. Zofja Jankowska poświęciła się pracy literackiej, pisując po polsku i po francusku. Piękny jej poemat p. t. „Pieśni słowa", ogłoszony w Paryżu w wydaniu polskiem i francuskiem, zwrócił uwagę krytyki na młodą i utalentowaną poetkę. Oprócz tego wybitnego poematu, utrzymanego w nastroju mistycznym, napisała Zofja Jankowska cały szereg innych utworów poetyckich. Wśród prac beletrystycznych wyróżniła się jej powieść „Święty ogień", pełna myśli podniosłych, wybornej obserwacji z życia kolonji malarskiej i niepospolitego uczucia.

Ś. p. Zofja Jankowska zgasła po długiej i ciężkiej chorobie i pochowaną została na cmentarzu miasteczka Sceaux pod Paryżem, gdzie znakomity jej małżonek posiada pracownię malarską.

Niech Jej ziemia obca lekką będzie!

▫ ▫

Ś. p. BOLESŁAW BALIŃSKI.

W dobrach Czepielencach w Besarabji zmarł ś. p. Bolesław Baliński, lekarz i ziemianin. Urodzony w r. 1840, średnie wy-



kształcenie otrzymał w Żytomierzu, potem wstąpił na wydział medyczny uniwersytetu w Kijowie, skąd zmuszony wyjechać, dokończył studjów w Szkole Głównej Warszawskiej w roku 1867. Pracował lat czterdzieści z górą dla cierpiącej ludzkości, wolne chwile poświęcając z umiłowaniem gospodarce na roli. Przeniknięty tradycjami niezapomnianej Almae Matris, był zawsze świadom swych najwyższych i najświętszych obowiązków.

▫ ▫

Ś. p. PAULINA JEŁOWICKA.

W końcu ubiegłego miesiąca zmarła w Warszawie ś. p. Paulina Jełowicka, przeżywszy lat 90. W r. 1843 poślubiła Adolfa



Jełowickiego, b. oficera wojsk polskich i zamieszkała na Podolu. Obywatelka wielkich cnót, ogólnem cieszyła się poważaniem.

▫ ▫

Ś. p. STANISŁAW CHMIELEWSKI.

D. 14 kwietnia r. b. zmarł w Borysówce pod Benderami (w Bessarabji) Stanisław Chmielewski, długoletni pracownik w Zarządzie kolei Południowo-Zachodnich.

Ś. p. Stanisław Chmielewski, ur. 26 marca 1856 r., pochodził z Królestwa Polskiego. Po ukończeniu 3-go gimnazjum w Warszawie, kształcił się w Instytucie Technologicznym w Petersburgu. Po powrocie do kraju w czasie reform, zasadzających się na kasowaniu wszystkich instytucji autonomicznych i usuwaniu miejscowego elementu, zmuszony był, jak wielu jego kolegów i wogóle młodzieży polskiej, szukać chleba poza obrębem Królestwa Polskiego. W 1882 r. powołany został do Zarządu kolei Południowo-Zachodnich w Kijowie, gdzie dnia 16 lipca 1907 r. obchodzono jego jubileusz 25-letniej służby na tych kolejach. W kilka lat potem, a mianowicie w 1910 r., zmuszony był opuścić zajmowane stanowisko, jak i wielu jego kolegów-Polaków, z powodu zmian w personelu Zarządu, wywołanych nowymi prądami politycznymi.

Jako człowiek, ś. p. Stanisław Chmielewski odznaczał się prawym charakterem i był nadzwyczaj uczynny, jako Polak był dobrym patrjotą, to też cieszył się ogólnem uznaniem i sympatją.

Cześć Jego pamięci!

▫ ▫ ▫

BOLESŁAW KOREYWO.

TE i TAMTE.

4)

Powieść.

Po spędzeniu paru godzin w pustych jeszcze prawie klinikach, zjadłszy pół porcji obiadu w jadłodajni studenckiej, wracał do domu i pogrążał się w odczytywaniu dzieł medycznych, studjował bowiem medycynę z prawdziwem zamiłowaniem; lecz trudno było znów bez przerwy siedzieć nad książką. Wszak był młody i w charakterze swym nie miał ani krzty ascetyzmu. Zachciewało mu się przeto od czasu do czasu weselszej jakiejś rozrywki, lecz dziś stan jego finansowy nie pozwalał mu na to, musiał bowiem liczyć się z każdym groszem i przemyśliwać nad sposobem wynalezienia złotodajnego środka.

Właśnie w tej chwili pogrążył się w takiej bezowocnej kontemplacji i dumał, aż się wreszcie oczywiście zdrzemnął.

Nie słyszał przeto, jak się drzwi jego pokoju otworzyły i jakiś elegancki młodzieniec w pięknem futrze i czapce karakułowej na głowie wtargnął do jego celi i bez żadnego szacunku dla ascetycznej kontemplacji Marzyńskiego powitał go hałaśliwie:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i ty szlachetna, aczkolwiek powierzchowna tylko, podobizno Nazaretańskiego Proroka! Cóż to śpisz? niczem uczniowie Nazarejczyka na górze Oliwnej?...

Lecz Marzyński już nie spał. Gdyby się nie zbudził, będąc tak hałaśliwie witany przez kolegę swego i przyjaciela, Konrada Rawicza, byłoby to oczywistym dowodem, iż zasnął snem sprawiedliwych, aż do chwili zmartwychwstania.

Lecz on żył jeszcze i nawet słyszał już zakończenie tego powitania, zerwał się bowiem na równe nogi i, witając kolegę z niekłamaną radością, dodał jednak po chwili z bolesną ironją:

— Uczniowie, powiadasz? Za jednego ucznia, bodaj stale śpiącego osła—gdybyś mi dziś jeszcze skądbądź wytrzasnął, — byłbym ci wdzięczny usque ad infinitum...

— Z tego preludjum oraz z marnej twej miny wnioskuję, mistrzu, żeś goły jak bizun... — wygłosił sentencjonalnie Rawicz, zdejmując futro i siadając na łóżku kolegi.

— Przeraźliwa bryndza...—potwierdził tamten lakonicznie.

— Kto się poniża—wywyższon będzie...—pocieszył go Rawicz, chętnie cytujący słowa pisma świętego w obcowaniu z Marzyńskim, którego piękna twarz o marzycielskich oczach i jedwabistej jasnej brodzie nadała mu w gronie kolegów przydomek „Chrystusa“.

— I żadnego amatora mięsienia nie znalazłeś jeszcze dotychczas? — pytał znów w rzeczywistości szczerze współczując ubogiemu przyjacielowi.

— Ani kawałka...—westchnął tamten.

— Nie rób miny wisielca... — zaśmiał się Rawicz:

— Przyjechałem do Kija, ergo rozwesel swoje oblicze i podejmuj mię godnie; a kondę jakąbądź wytrzasnę ci za dni parę, gdy się rozejrzę po znajomych mi domostwach. Wyłowię ci też bodaj jakiego paralityka u doktora Knarskiego, a toć chyba najpożądańszy dla ciebie pacjent, będziesz go mięsił aż do śmierci i brał honorarjum za podtrzymywanie w nim błogiej nadziei, że nie jest z nim jeszcze tak źle, jeśli panowie lekarze zalecają mu jakiś środek. Będziesz mógł jeszcze dla większego efektu zalecić mu zażywanie po seansie mięsienia życiodajnych, środków własnego, niby twego wynalazku, pchając weń w odpowiedniej dozie proszek „Sachari albi“, oraz cudotwórczy magiczny „Spiritus uniwersalis“ w postaci „aquae distilatae“. Tylko pamiętaj—nie więcej nad łyżeczkę herbacianą raz na dzień, boć przy dłuższem zażywaniu tego leku w większej dozie, gotów łajdak rzeczywiście wyzdrowieć i plunąć na twe mięsienie...

— Łatwo ci kpić, gdy masz kabzę pełną, ja zaś oto myślę już parę tygodni nad tem, skąd dostanę floty na opłacenie wpisu.

— Takie myślenie, jak się przekonałem naocznie jest doskonałym środkiem nasennym, radzę ci go opatentować, przyszła gwiazdo medycyny!...— zaśmiał się Rawicz.

— No, a teraz włóż jakiś mniej ascetyczny przyodziewek (Marzyński miał bowiem na sobie w tej chwili tylko koszulę i spodnie, właśnie te... spodnie) i pójdziemy do jakiejbądź knajpy, widzę bowiem, że w twym pałacu gościnność staropolska nie kwitnie.

— A dla dodania ci humoru — dodał po chwili, wyjmując z kieszeni nabrzmiały pugilares,—pozwól złożyć w twe niezawodne ręce tytułem depozytu ten oto papierek; wrócisz mi tę sumkę kiedy będziesz mógł z honorarjum, pobranego od paralityka; biorąc dziś tę flotę zrobisz mi prawdziwą przysługę, bo wiesz przecie jak gorące mam serce, w którego sąsiedztwie flota topnieje jak lód. A więc pozostawione u ciebie w depozycie te sto rubeljansów będą z czasem dla mnie nader miłą niespodzianką.

— — — — — — — —

Jadąc tramwajem koledzy zaczęli się naradzać nad wyborem knajpy.

— Dokąd więc pójdziemy?... —pytał Rawicz.

— Wiesz, chyba do jakiej kawiarni, nie mam bowiem jeszcze apetytu na kolację...—odparł Marzyński, któremu chociaż zawsze apetyt służył, lecz trening kilkutygodniowy już przyzwyczaił jego organizm do zadawalniania się mniejszą ilością pokarmu.

— Nie blaguj!... zaśmiał się tamten: nie jestem twoim pacjentem, ty zaś nie masz jeszcze dyplomu na łgarza!...

— Ale wiesz co? — dodał po chwili: obaj mamy strusie żołądki i... jeszcze coś... Pójdziemy więc do „Grand Cafe“... co?...

— Możemy... zgodził się Marzyński—chociaż rzeczywiście tam trują!

— Ba, jako przyśli lekarze, nie powinniśmy się bać trucizn... — zaśmiał się Rawicz.

— — — — — — — —

Gdy obaj koledzy schodzili po wązkich schodach, prowadzących do podziemia pasażu przy placu Ratuszowym, czyli do sławetnej spelunki, pompa-

tycznie „Grand Café“ zwanej, powonienie ich już zostało mile połechtane zapachem łoju i dymu tytuniowego, wydobywającego się z czeluści długiej o nizkim pułapie sali kawiarnianej, której wnętrze wilgotne, pozbawione działania promieni słonecznych roziskrzone natomiast, niczem gwiazdami, kilkoma dziesiątkami lampek elektrycznych, zawieszonych na imitującym niebo suficie, wypełnione już było szczelnie stałymi bywalcami tej pieczary.

Jaskinia ta na pierwszy rzut oka czyniła wrażenie wyciągniętej w nieskończoność nory kreciej, zapełnionej niezliczoną ilością stołów, pokrytych skalanymi musztardą, łojem, kawą, piwem i t. p. obrusami, oraz pijanych krzeseł, chwiejących się i skrzypiących przeraźliwie pod lada ciężarem. Lecz obszar tej ubikacji, jak również i ilość tych stylowych mebli, były tylko złudzeniem optycznem, osiągniętem przez ulokowanie w końcu sali przepierzenia lustrzanego, poza którem dyskretnie przykucnęły dwa pomniejsze lokale, aczkolwiek mniej wytwornie umeblowane, dające jednak często miłe chwile prawdziwej ulgi i wytchnienia gościom kawiarnianym płci obojga..

Płeć brzydka reprezentowana tu była przeważnie przez subjektów sklepowych, wygłodzonych aktorów, „artystów“ cyrkowych, szoferów, studentów wyższych zakładów naukowych, reporterów świstków brukowych, węszących sensacje rewolwerowe oraz wreszcie osobników „niemających określonego zajęcia“...

Czasem jednak można tu było spotkać też ludzi, zajmujących nader poważne stanowiska społeczne, których ta zakazana nora zwabiała pod swoją strzechę wielką obfitością gości płci pięknej, której przedstawicielkami były tu wyłącznie t. z. „te kobiety“, znajdujące w tej zacisznej, aczkolwiek cuchnącej spelunce parogodzinne bodaj schronienie przed jesienną chlapawicą i zimową szarugą i chłodem.

Dowcipny właściciel kawiarni, oceniając należycie ten wzbogacający go w szybkim tempie wabik na gości, tolerował z prawdziwie ojcowską wyrozumiałością niektóre drobne wybryki tych pań, nie zawsze przestrzegających elementarnych bodaj przepisów światowych, one też, odczuwając instyktownie, jaki walor mają tu w oczach gospodarza, traktowały jego ojcowską powagę z lekkomyślną nonszalancją i gospodarowały jak u siebie w domu, grasując wzdłuż i wszerz sali, przechodząc od stołu do stołu, kusząc płeć brzydką uśmiechami, wabiąc ku sobie wcale niedyskretnem mruganiem podczernionych powiek, lub niecenzuralnemi czasem półsłówkami i wreszcie... apetytem, z jakim jadły trudne do strawienia „sznelklopsy“, jakby pragnąc tem dać dowód bodaj względnego zdrowia swojego ciała.

Nie krępowały się wcale, dysponując dla siebie najwyszukańsze dania, na jakie tylko mógł się zdobyć genjalny mózg właściciela kawiarni i kucharza w jednej osobie, zapijały te smakołyki piwem lub pięknie imitującem szampan „Sitro“, nie bacząc na koszt, wiedziały bowiem, że portmonetka ich bynajmniej nie schudnie, ponieważ nie dziś to jutro, lecz najczęściej dziś jeszcze, rezultat ich wilczych apetytów w postaci rachunku chętnie czy nie, ale zawsze musi być opłacony przez jednego z napotkanych tu i skokietowanych „na fest“ przygodnych znajomych..

Nie miały też żadnych wyrzutów sumienia, gdy nawet miły ich sercu „frajer“ opłacił ich rachunki, w których lwią część sumy formowała pozycja t. z. „było nie było“ (naśladowania godna zdolność improwizacyjna właściciela kawiarni do spółki z lokajami)—rachunki bowiem takie z wszelkimi nadetatowymi dodatkami i napiwkami wynosiły tu zwykle od jednej osoby zaledwie rubla z kopiejkami, z powodu zaiste niewygórowanych cen na wszelkie potrawy i zakazu handlowania w tej kawiarni napojami wyskokowymi. Co prawda ilość wypijanych tu piw zwycięsko niwelowała brak spirytualji i pijane podniecenie lub obezwładnienie gości nie było tu zdarzeniem zbyt rzadkiem.

Koledzy, szczęśliwie dotarłszy do jednego jeszcze wolnego stołu, spoczęli na rozśpiewanych jak harfa Eola krzesłach.

Marzyński sięgnął po jadłospis i zagłębił się w odczytywanie tego arcydzieła.

Właśnie dotarł już wzrokiem do potrawy, na której miał się zatrzymać w swym wyborze a ochrzczonej przez właściciela, pozwalającego sobie na drobne rusyfikowanie języka francuskiego, mianem kotletów „de walaj“, gdy wtem kartka jadłospisu wymknęła się z jego rąk, wytrącona zręcznym szczutkiem Rawicza.

— Zapominasz, gdzie jesteś...—zaśmiał się tamten, kiwając głową z pobłażliwem politowaniem.

— Zapominasz, że jadłospisy należą tu tylko do szczególików dekoracyjnych, jadło zaś jest jedno—zepsute mięso, usmażone na świeższym nieco łoju. Pocóż więc suszysz sobie mózg nad wyborem? Musisz bezapelacyjnie skonsumować to co dadzą, a jakiem mianem ochrzczą ci ten preparat—czy nie jest to obojętne?...

— Człowieku!...—skinął na lokaja, przechodzącego właśnie obok z brudną ścierką, imitującą serwetę, pod pachą:

— Prosimy o dwa duże piwa i dwie porcje czegobądź.

— Służę panom...—ukłonił się sługus i zmiótł ze stołu jednym zamachem swej ścierki okruszyny chleba wraz z nieszczęsną kartką jadłospisu na podłogę.

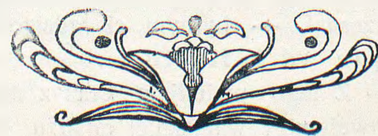
— Pozwolę sobie zaproponować panom szaszłyk kaukazki na rożnie, będzie wyśmienity!...

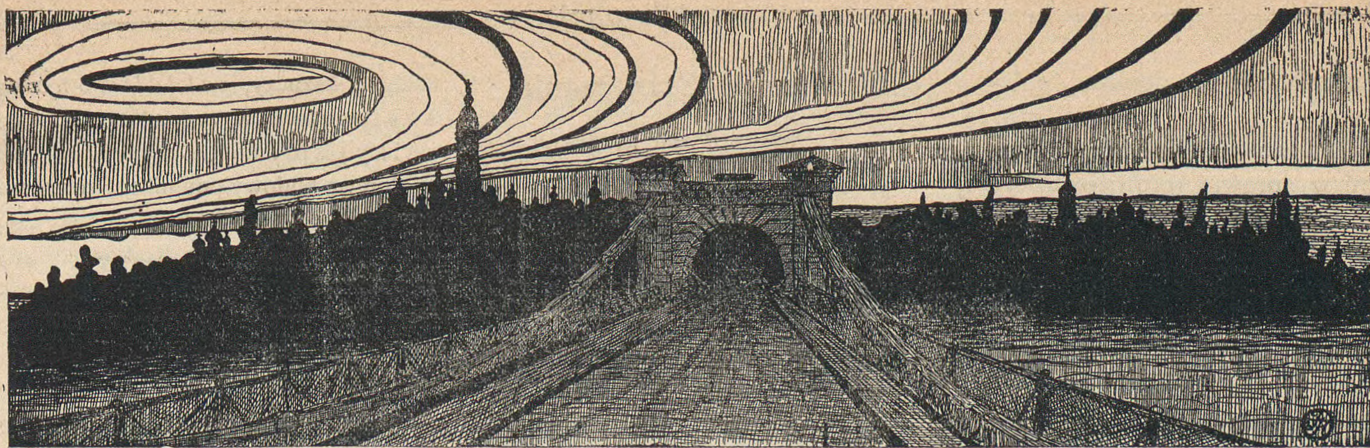
— Dziękujemy za radę, wierzymy i prosimy...—zgodził się Rawicz w swojem i kolegi imieniu.

Gdy lokaj odszedł, Rawicz dla skrócenia czasu oczekiwania jego powrotu z zamówioną kolacją, rozglądał się bez ceremonji po sali, czyniąc półgłosem uwagi o obecnych na sali kobietach. Niektóre z nich, gdy się ich oczy spotkały ze wzrokiem Rawicza, uśmiechały się doń zalotnie i witały ruchem wzniesionej w górę dłoni, jako dobrego znajomego.

Widocznie młodzieniec światowy, poza studjowaniem (dość pobieżnem co prawda) medycyny i obcowaniem ze śmietanką i mlekiem towarzystwa, znajdywał jeszcze czas na podtrzymywanie stosunków mniej krępujących, choć też mniej zaszczytnych.

DCN.





OD REDAKCJI.

Jednem z zadań naszego pisma jest odtwarzanie dawnych cennych pamiątek, rozsianych po ziemi ukraińskiej.

Prosimy przeto wszystkich Czytelników i Przyjaciół „Kłosów Ukraińskich" o nadsyłanie nam obszernych opisów i monografji: miast, miasteczek, wsi, kościołów, pałaców, dworów i dworków, wraz z fotografjami.

Chętnie również pomieszczać będziemy kopje z cennych obrazów, znajdujących się w galerjach prywatnych, ryciny starych mebli, tkanin i różnych innych zabytków historycznych i artystycznych.

O łaskawą pomoc w tym względzie — uprzejmie wszystkich prosimy.

NA DOBIE.

Przeżywamy bardzo ciekawe, przełomowe wręcz czasy. Gdy przed stu z górą laty upadek Polski politycznej spowodowany był egoizmem sfer najwyższych w narodzie, — w latach ostatnich taki upadek, gorszy, bo nietylko polityczny, ale i moralny, bardziej wszerz i wgłąb idący do najszerszych warstw — przygotowywali nam przywódcy tak zwanej (przez nich) „polityki narodowej".

Nigdy Polska nie stała na drogach tak bardzo rozstajnych i rozbieżnych, tak ku niewiadomym rezultatom chwiejnie wiodących, tak obezwładniających istotę polskiego ducha, jak właśnie w epoce ostatniej.

Za ideał naczelny rzucono nam nacjonalistyczne hasło „egoizmu narodowego", hasło bezwzględnej walki ze wszystkimi sąsiadami — nawet z tymi, z którymi wspólne łączą nas losy, wspólne dzieje i wspólna niedola, z tych samych źródeł naszych własnych błędów płynąca.

Suggestjonująca ideologja naszych „egoistów" narodowych, mająca łatwe podstawy dla swej propagandy w prasie i na trybunie parlamentarnej—zdawało się—wyrwie z duszy narodu najpoważniejsze jego ideały, zada kłam proroczym słowom Poety o wielkiej misji Polski ukrzyżowanej—i z narodu rycerzy utworzy zastępy bezdomnych i bezpańswowych sprzedawców igieł i cukru, spasionych hodowców świń i wieprzów, i wirem rozpusty porwanych, uległych „chadatajów" polskiego geszeftu.

Chwile powodzeń życiowych są tylko chwilą. Gdy zbraknie podstaw moralnych i uczuciowych, którym wszelki egoizm najbezwzględniej przeczy, gdy fundament „nowych" koncepcji narodowych wznoszony będzie nie na pokładach przez szereg minionych pokoleń uprawianego gruntu—to wszystko naleciałe, wszystko niespodzianie zdobyte, jak puch się rozwieje, i tylko krwiożercze i przed światłem słońca kryjące się sowy zachichocą potem nad pustkowiem, które po takiej uprawie nastąpić musi.

Lecz przyznać trzeba z radością, że obce nam wichry egoizmu narodowego przeleciały tylko jak burza nad głowami narodu polskiego. Wywołały one na krótką tylko chwilę zawrót głów, — rozpacznie załamane ręce szukały w nich chwilowo tylko ratunku.

Zdawało się, że pod wpływem wojującego nienawiścią, ale na przelew krwi własnej skąpego egoizmu—upadnie u nas poczucie nieprzemijających nigdy zadań— tych zadań, które samo imię Polski uczyniły najmocniejszym dźwiękiem w pacierzu 25-miljonowego narodu.

Bo nieprawda, że na egoizmie wyrasta jakiekolwiek dobro. Nawet w życiu prywatnem, osobistem, egoizm, jako zasada, mści się najokropniejszemi konsekwencjami — rozstrojem rodziny, samobójstwami żon i dzieci — upadkiem wzajemnego wśród członków jednej rodziny szacunku. A cóż dopiero wśród narodów!

Jeśli nieprzyjaciele nasi — jeśli narodowi egoiści z tamtych brzegów—odpłacili nam w trójnasób za nasze narzucone nam przez agitatorów politycznych uchylenie się od ideałów, jeśli zdążyli po świecie całym roznieść już baj-

kę o rzekomym upadku polskiej kultury — to dziś cofać się muszą.

Pojednanie się w Galicji z Ukraińcami w sprawie reformy wyborczej do Sejmu, uniewinniający wyrok polskich przysięgłych w procesie moskalofila Bendasiuka we Lwowie, szlachetne i podniosłe „listy otwarte" Dymszy i Herbaczewskiego do nacjonalistycznego nowego Biskupa żmudzkiego, który, zapominając o wspólnej doli i niedoli Litwinów i Polaków, przeciw nam właśnie rozpoczął krucjatę,—te znaczące z ostatniej doby objawy polskiej niezależnej myśli—to dokumenty trwania Polski, naprawdę polskiej, która w tradycyjnych swych instynktach niesie ludzkości swój ideał tolerancji i poszanowania dla odrębnych narodowych ukochań.

Tych, których zraziły chwilowe uchylenia się polskiej myśli od jej istotnej linji wytycznej,—tych, którzy, własnym atawistycznym egoizmem wiedzeni, nie zdolni są zrozumieć, jak należy, przemijających wahań w zbiorowej a tak tragicznie trudnej akcji polskiej—nie przekonają dziś nasze słowa, lecz nauczą czyny.

Twórzmy więc czyny. Na to nas stać. Najurodzajniejsze ziarna mocy duchowej zapadły w duszę polską. Stwierdzili to najwybitniejsi badacze rozwoju ducha narodów—z cudzoziemców Brandes, a u nas Szczepanowski, wielki i niedoceniony budziciel energji narodowej.

Niech-że te ziarna twórcze nie giną. Niech się nie wypleniają. Chrońmy je od złych chwastów.

I tu, na Ukrainie, gdzie nasz moralny i materjalny stan posiadania z inną bratnią styka się własnością narodową, — zostańmy nadal siewcami pojednania. Zostańmy siewcami kultury. Nikt nam nie zdolny jest wydrzeć tego naszego prawa, tego naszego obowiązku, — i tego naszego posłannictwa.

J. Ursyn.



O pomnik Szewczenki.

Szanowny Panie Redaktorze!

W 124-ty n-rze „Rady" znów poruszono sprawę budowy pomnika Szewczenki. Uważając, że sprawa budowy w Kijowie pomnika Szewczenki jest tak doniosłej wagi, iż powinna być jaknajszerzej i najwszechstronniej wyświetlona, pozwalam sobie prosić Szanownego Redaktora o umieszczenie w „Kłosach Ukraińskich" kilku moich uwag.

Mnie i gronu ludzi, z którymi mówiłam o projektowanym przez Shiortino pomniku, nie podoba się on z powodu swej nazbyt szablonowej kompozycji i sielankowo-teatralnej dekoracyjności. Nie podoba nam się również i miejsce, na którem pomnik ma stanąć, jako nie odpowiadające powadze tego, komu hołd składamy.

Ze względu jednak na ludzi, którzy należą do Komitetu budowy pomnika, uważam za nieodpowiedni ton protestu, umieszczonego w № 124 „Rady". Możemy nie zgadzać się z Komitetem pod wielu względami, możemy, a nawet powinniśmy w tych wypadkach protestować, ale, polemizując z osobami, w skład Komitetu wchodzącemi, powinniśmy pamiętać, że są to ludzie za wielkich zasług, abyśmy mieli prawo odzywać się do nich z lekceważeniem. Nazwiska takie, jak A. A. Russow, C. F. Russowa i E. Czikalenko, są zbyt drogie każdemu prawdziwie ukraińskiemu sercu, byśmy mogli na łamach ukraińskiego pisma czytać takie oto zwroty:

„Ne zważajuczy na take oburennia i opir hromadenstwa, Komitet nyszkom robyt swoju sprawu, słuchaje wsi dokory i protesty, szczo syplutsia so wsich bokiw ta spokijnisenko pidfarbowuje swij projekt. Sprawa cia ostilki obrażaje nas, szczo musimo my pidnesti i swij hołos protestu."

Albo też:

„Ne zabuwajte, p. p. komitetczyki, pro swoju widpowidalnist' pered hromadianstwom.

„Ne zabuwajte, szczo na was zwernenу oczi wsioho hromadianstwa, szczo pryjdeszny pokolinja zaplamujut' nas za te, szczo ne majemo poszany do swoho Welikoho Poeta.

„My protestujemo proti hanebnoho powodżenja Komitetu, proti joho, łahidno każuczy, szkidliwoho diktatorstwa w zahalno-nacjonalnyj sprawi"...

Sprawa budowy pomnika Szewczenki przypomina mi historję budowy pomnika Mickiewicza w Krakowie. Gdyby odczytać polemiki z owych czasów, jakie toczyły się pomiędzy Komitetem budowy pomnika i niezadowolonymi, przekonalibyśmy się, że argumenty i protesty jednej i drugiej strony są bardzo podobne do argumentów i protestów, jakich jesteśmy świadkami obecnie z racji sprawy budowy pomnika Szewczenki.

O ile pamiętam, budowa pomnika Mickiewicza pochłonęła 400 tys. koron, zebranych wczasie, kiedy w Galicji panował głód tak straszny, że pod samym prawie Krakowem ludzie z głodu marli. Składki jednak napływały hojnie. A dzisiaj, powinno tylu wysiłków, jest zamiar zamiast nieudanego pomnika postawić inny udatniejszy. Przypominam to dla tego, że tam także z elity społeczeństwa polskiego składał się Komitet i Komitet ten błądził, co niech będzie przestrogą dla naszego Komitetu. Protestowały również i krytykowały całe grupy społeczeństwa polskiego na czele z Witkiewiczem, a jednak nie zapomniały wówczas i do dzisiaj pamiętają o należnym szacunku dla zasług członków Komitetu. To niechaj będzie przestrogą dla występujących w niewłaściwy sposób przeciw Komitetowi budowy pomnika Szewczenki.

Protestować jednak — powtarzam — przeciw budowie projektowanego przez Shiortino pomnika jest naszym obowiązkiem.

Artyści ukraińscy wypowiedzieli na łamach pism swe zdania w tej sprawie. Możebyśmy poprosili obecnie artystów polskich i rosyjskich, aby zechcieli otwarcie i publicznie wypowiedzieć się. Mówią wprawdzie, że artyści Polacy i Rosjanie uznają projekt Shiortino za odpowiedni. Z drugiej jednak strony słyszałam z dość pewnych źródeł, że np. artysta Wł. Galimski uważa projekt Shiortino za bardzo szablonowy, bez inicjatywy twórczej skoncypowany. Jest to podobno w kołach artystów polskich zdanie nie oderwane.

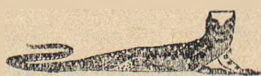
Miejsce, na którem ma stanąć pomnik Szewczenki, wywołuje również protesty. I słusznie. Wiem i wierzę, że

hołd Szewczence można składać zawsze, wszędzie i na każdem miejscu. Wybieramy jednak zwykle dla wszelkiej adoracji warunki bardziej odpowiadające nastrojowi naszej duszy. Wzgardzony plac przed Muzeum miejskiem bardziej chyba odpowiada takiemu nastrojowi, niż nawet centrum Kreszczatyka, różnica zaś wielkości placu jest bardzo mała, a Muzeum jako tło dla pomnika jest niczem nie zastąpione.

Panowie Komitetowi, rozważcie proszę, czyby miasto, doprawdy, nie chciało dać bardziej odpowiedniego placu!

Franciszka Wolska.

Kijów.



Czterdziestolecie.

Pisząc w numerze poprzednim naszego pisma o „przedstawicielu kultury ukraińskiej", zapomnieliśmy zaznaczyć, iż dr. Iwan Franko kończy w roku bieżącym 40-lecie swej pełnej zasług działalności literackiej, naukowej i publicystycznej. Pierwszym jego utworem drukowanym — był sonet p. t. „Pieśń ludowa", który podajemy właśnie w niniejszym numerze „Kłosów Ukraińskich", we własnym przekładzie Szan. autora, dokonanym specjalnie dla pisma naszego.

Stosunki polityczne ostatnich czasów tak się ułożyły, że dr. Iwan Franko nie ma dziś dostępu prawie do żadnego czasopisma ukraińskiego. Z „Literaturno-Naukowym Wistnykiem", którego redaktorem i głównym współpracownikiem był przez lat dziesięć, zerwał stosunki w połowie roku 1910-go, wskutek niewłaściwego postępowania z nim właściciela pisma, prof. M. Hruszewskiego. Dzisiaj nie ma ani jednego organu rusińskiego, któryby chciał drukować utwory najzasłużeńszego i najkulturalniejszego — a złamanego chorobą—pisarza Ukrainy...

Smutny to objaw, świadczący o skłóceniu się społeczeństwa ukraińskiego i o zgubnym podziale jego na partje i koterje.

W roku jubileuszowym d-ra Iwana Franki ślemy mu życzenia i wyrazy uznania dla jego długoletniej ciężkiej pracy, podejmowanej zawsze z miłością dla narodu i ojczyzny.



PRZEGLĄD PRASY POLSKIEJ.

„Polska intelektualna".

W rozmaitych pismach pisze się dzisiaj, że idzie ku nam Polska Ludowa, a wraz z nią Polska Wydziedziczonych.

Z powodu tego, oto co pisze „Myśl Niepodległa":

„Wprawdzie historja twierdzi, że Polska Ludowa maszeruje już coś od wieku a Polska Wydziedziczonych od pół wieku, ale, jak wiadomo, nie wszyscy liczą się z historją, albowiem jej trzeba slę uczyć, a to stanowi pewien niemiły mozół.

Komuż nie bije serce dla Polski Ludowej? Któż z nas niema czucia dla Polski Wydziedziczonych? Ale jak każdy przedmiot rzuca za siebie cień, tak za Polską Ludową wali w całym swym niekulturalnym przepychu Polska Chamska, a za Polską Wydziedziczonych kłębi się Polska Krzyżacka.

Nigdy może nie stała się tak pilną potrzebą dbałość o Polskę Intelektualną, którąby umiała odróżnić plewy od ziarn, mądrość od głupstwa, rzecz użyteczną od bzdury.

Głów nam potrzeba, tęgich głów, umysłów organizujących i dlatego, zdaniem naszem, należałoby zwócić uwagę w całkiem inną stronę.

Szczególną dbałością powinniśmy otoczyć naszą inteligencję, która w ciągu nieproporcjonalnie długiego czasu nadto podporządkowywała swoje interesy interesom innych klas społecznych.

Inteligencja nasza jest siedliskiem umysłowości, kultury i tradycji narodowych. Ona jest tą arką przymierza między dawnemi i młodemi laty. Ona decyduje o fizjognomji historycznej naszego narodu. Do tych spichlerzy umysłowych przyjść musi Polska Ludowa i Polska Wydziedziczonych.

Kto tego nie rozumie, ten wogóle nie rozumie podstawowych praw życia.

Podział narodu na arystokrację i demokrację należy do przeszłości. Dziś naród dzieli się na sfery kulturalne i niekulturalne. Arystokraci i demokraci mogą się znajdować w obu sferach.

Miejsce dawnego arystokratyzmu zajęła kulturalność. Nasz demokratyzm aż nazbyt często jest tylko niekulturalnością. Chamstwo i przekupstwo do spółki z krzykactwem a nawet zdradą wdziewa czapkę frygijską i maluje swe występki na czerwono.

Przeciwko temu musi się zmobilizować Polska Intelektualna, czyli Polska Intelektu, bez względu na to, jaką stanowi grupę w formacjach społecznych".

Pożyteczna ankieta.

Krakowski „Przegląd Powszechny" rozpisał ankietę w kwestji polsko-ruskiej, ujętą w dwa pytania: 1) Jakie, po za spornym terenem kwestji polsko-ruskiej, istnieją sprawy dla obu narodów wspólne? 2) Jakimi środkami możnaby współpracownictwo obustronne w tych sprawach urzeczywistnić?

„Ankietę tę—pisze „Przegląd"—urządzamy jako pismo katolickie, stojące po nad polityką. Sam charakter naszego pisma świadczy najlepiej, że nie plany polityczne kierują nami, ale głębsza troska o złagodzenie narodowej waśni, chęć pogłębienia zasady Chrystusowej w pożyciu dwu narodów. W tym duchu kierujemy ankietę naszą do przedstawicieli obydwu narodów, z czego płynie, że toczyć się ona może w dwu językach: polskim i ruskim".

Asumpt do ankiety bierze „Przegląd Powszechny" z uchwalenia reformy wyborczej i z oświadczeń przedstawicieli obu narodów, po których, zdaniem „Przeglądu", nastała głęboka cisza, nie wykluczająca jednakże jakiegoś wzajemnego zbliżenia. „Zostawić rzeczy ślepemu biegowi, kierować się tylko przemijającymi warunkami bieżącej chwili i doraźnych haseł partyjnych, a nie pomyśleć w tym stanie o zasadniczym kierunku, świadczyłoby nietylko obustronnie o zaniku głębszej idei, ale dowodziłoby także braku poczucia własnego, dobrze zrozumianego interesu".

Głos młodych.

Przy „Dzienniku Petersburskim", od czasu do czasu, wychodzi nadzwyczaj ciekawy dodatek p. t. „Głos młodych", będący organem polskiej młodzieży uniwersyteckiej.

W przedostatnim numerze tego dodatku znajdujemy płomienny artykuł polemiczny p. T. H-ko p. t. „Ideologom rodzinnego ghetta". Jest to odpowiedź na artykuł p. W. G-skiego w wileńskiej „Pobudce", w którem to czasopiśmie zarzucono p. T. H-ce, że niema prawa przemawiać o sprawach i życiu polskiem, gdyż wyrósł w stepach Azji, gdzieś nad chińską granicą, i zaledwie przed kilku laty poznał ziemię ojczystą.

„Chętnie podejmuję rzuconą mi rękawicę—pisze p. T. H-ko—i pytam: dlaczego? Czyż polskie serce tak jest małe, a polski rozum tak ciasny, iż stać go tylko na mądre, świadome ukochanie ugoru jedynie wokół własnej rodzinnej chaty? Czyż wytężoną myślą i najgłębszem ukochaniem nie umiemy już objąć całej nierozdzielnej Polskiej Ziemi? Czy z psychiką naszą tak się już zrosły niewolne jej podziały, iż myślą i ukochaniem dzielimy ją na jeszcze bardziej drobne? I nie wolno już mówić młodzieży z Litwy o sprawach Galicji, Podolakom o Poznańskiem, a Emigracji w ogóle o całej Polsce? Czyż aż tak jest źle z nami? Nie — odpowie mi na to kol. G-ski—to wolno wszystkim, co się urodzili na ziemiach dawnej Rzeczypospo

litej, nie zaś wam, przybyszom z dalekich wygnańczych obszarów, którzy jesteście „czemś pośredniem między typem polskim a rosyjskim i niesiecie ze sobą zbyt wiele obcych pierwiastków, uczuć i myśli“.

Tak, tu naprawdę mógł bym się zatoczyć od „braterskiego“ pchnięcia sztyletem w plecy. Gdyby mię nie utrzymywały w wierze świetlane postacie tych, co byli mi drogowskazami w powrotnej drodze do Ojczyzny — których ojczysta ziemia przygarnęła z chlubą i miłością. A takimi byli: ks. Józef Poniatowski, syn zniemczonego austrjackiego generała i czeskiej księżniczki, a który, jak mówi Askenazy, do końca życia pisał jędrnym polskim stylem, lecz z błędami ortograficznymi. Takim H. Dąbrowski—syn Niemki, który do końca życia źle mówił po polsku; Wincenty Pol, który zaledwie w 16 roku zaczął się uczyć po polsku; Kunicki z matki Gruzinki, który znalazł jednak drogę z Kaukazu przez Petersburg do Warszawy.

Wyprzyjcie się tych wszystkich „pośrednich Polaków“, a którym na imię legjon, wówczas i ja schowam głęboko pod serce umiłowaną sprawę polską i nie usłyszycie już mego głosu. Bo nie do tej Polski, odgrodzonej od świata zasklepieniem i pleśnią rwała się moja dusza, nie dla niej zwalczałem obce wpływy — krzepiłem w chwilach upadku, szedłem i łączyłem się z polskiem społeczeństwem, nie zważając na drwiny za złą polską mowę, błędy w pisowni i na braterskie pchnięcia w plecy, które mię czekają dziś i jutro. Serca dzieci wyrosłych na obczyźnie podbiła inna Polska—ta, o której opowiadali nam ojcowie w długie zimowe wieczory, a która rozpościerała się od morza do morza — nie ogniem i mordem znacząc swe podboje, lecz kulturą i tolerancją przyciągając ku sobie tysiące obcych organizmów, — ta, która była wszędzie—u źródeł wiedzy europejskiej—na uniwersytetach Włoch i Francji, i tam gdzie walczono o wolność, — która zwyciężona, lecz dumna, szła drogą kwiatów na emigrację — aby wyśpiewać tam hymn polskiej duszy. Ta Polska w tragicznem, pełnem grozy, lecz i niewysłowionego piękna zmaganiu się o swoje życie — przykuła nas do siebie i tej Polsce my „pośredni“ chcemy i będziemy służyli wszystkimi siłami.

I dlatego mówić nie przestanę—tak szeroko i daleko, jak tylko głos dosięgnąć po Ziemi Polskiej może, i nie będę prosił was o rozgrzeszenie za zewnętrzną skazę mej polskości, bo mi je już dali ci Świetlani, co mię do Ojczyzny przywiedli, i ten ogromny zastęp polskiej młodzieży, — która z dążeń swych, myśli i przyszłych czynów chce stworzyć harmonijną całość — rzucić nowy klejnot do skarbnicy Duszy Polskiej, wyśpiewać na Jej cześć nową, lecz tym razem—zwycięską pieśń“.





Szkic Zofji Bukowskiej.

Tak mało...

Tak mało w życiu jasnych dni,
Wciąż chmurzy się wokoło,
Chwilami tylko słońce lśni,
Tak mało w życiu jasnych dni...

Tak mało w życiu cichych dni,
Wciąż burza wre wokoło,
Chwilami tylko cisza śni,
Tak mało w życiu cichych dni...

Kwiecistych dróg tak w życiu mało,
Porasta głóg wokoło,
Tak mało w życiu jasnych dni,
I cichych dni tak mało...

Kijów. *Tezet.*



Album Kijowa.

Wydawnictwo ilustrowane, chociażby tylko poprawne pod względem artystycznym, jest jeszcze u nas, niestety, rzadkością. Z prawdziwą więc satysfakcją, a uznaniem dla wydawców, witamy „Album Kijowa“, który niczem nie ustępuje tego rodzaju wydawnictwom zagranicznym.

„Album Kijowa“ składa się z 24-ch wielobarwnych reprodukcji obrazów malarzy polskich i ukraińskich. Wszystkie te obrazy to Kijów-Ukraina, przeżyta w duszy poety-malarza; otwierając karty „Albumu“, nie tylko patrzymy na mury Wieży Mazepy, lub Starego Kijowa, ale jednocześnie czytamy pieśni o Ukrainie.

W „Albumie Kijowa“ reprodukowane są następujące obrazy: „Pomnik Bohdana Chmielnickiego“ W. Galimskiego; „Muzeum miejskie“ M. Buraczka; „Widok na Dniepr z Carskiego ogrodu“ E. Wrzeszcza; „Wieża Mazepy“ J. Iżakiewicza; „Most łańcuchowy“ O. Romanowa; „Klasztor św. Flora“ Chrystjana Krona; „Stary kościół“ Teresy Popielskiej; „Sobór Sofijski“ W. Galimskiego; „Uniwersytet“ M. Buraczka; „Cmentarz Askolda“ J. Iżakiewicza; „Jary Kiryłowskie“ O. Romanowa; „Brama Klasztoru Michajłowskiego“ J. Iżakiewicza; „Pomnik Chrztu Rusi“ W. Feldmana; „Klasztor Wydubicki“ L. Briummera; „Sobór św. Andrzeja“ O. Romanowa; „Spas na Berestowie“ J. Iżakiewicza; „Padoł“ O. Romanowa; „Droga do Żytomierza“ W. Kozłowskiego; „Górka św. Włodzimierza“ J. Iżakiewicza; „Cmentarz Szczekawicki“ W. Galimskiego; „Ławra“ J. Iżakiewicza; „Ogród Kupiecki“ T. Popielskiej; „Widok na stary Kijów z ogrodu Carskiego“ M. Orłowa; „Klasztor Pokrowski“ J. Iżakiewicza.

Część dochodu ze sprzedaży „Albumu“ wydawnictwo „Deń“ przeznaczyło na rzecz Kijowskiego Pogotowia Ratunkowego.

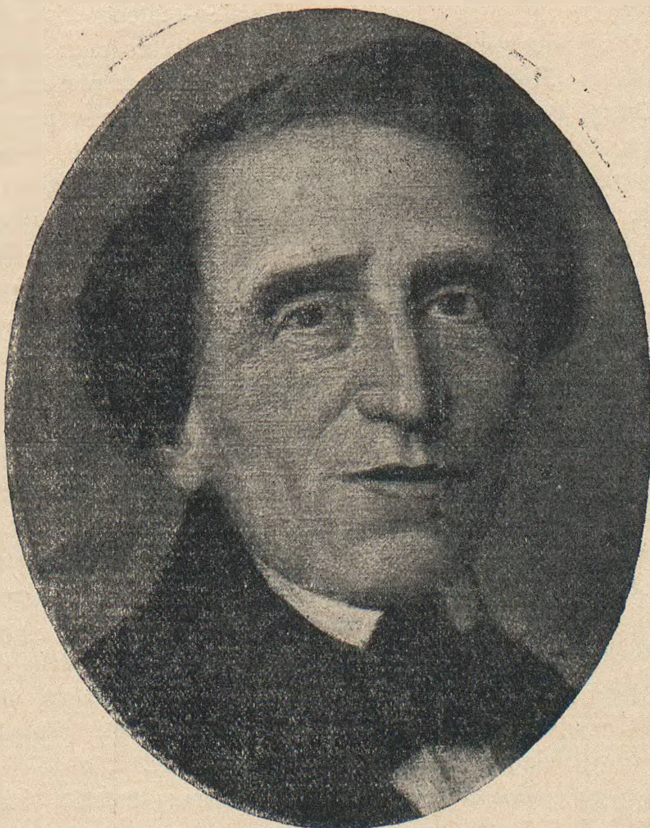


GIACOMO MEYERBEER

(1791—1864)

W dniu 2-im maja 1864 r. zmarł kompozytor, którego twórczość, aczkolwiek zwrócona w kierunku dla sztuki niepożądanym, a do pewnego stopnia wręcz szkodliwym, w swoim czasie wywierała wpływ przemożny na ogromną większość muzyków i bezwzględnie ujarzmiała nieprzeliczone rzesze publiczności.

Giacomo Meyerbeer, właściwie zaś Jakób Meyer Beer, przyszedł na świat w Berlinie, 5-go Września 1791 r. Syn bogatego bankiera, gromadzącego w swoim salonie wybitnych przedstawicieli świata literackiego i artystycznego, przyszły twórca „Roberta Djabła" wzrastał w środowisku, sprzyjającem rozwojowi jego talentu i otrzymał niezwykle staranne wykształcenie. Niepospolite uzdolnienie muzyczne mały Jakób ujawnił już w czwartym roku życia zasłyszane ludowe piosnki natychmiast powtarzał z całą dokładnością wtórując sobie na fortepianie.



W dziewiątym roku występuje po raz pierwszy publicznie, odtwarzając koncert (D-moll) Mozart'a. Popis ten, któremu towarzyszyło wielkie powodzenie, zdecydował ostatecznie o przyszłych losach młodocianego wirtuoza, rodzice bowiem jego od tej chwili powzięli zamiar uczynienia zeń fachowego muzyka.

Studja nad grą fortepianową Meyerbeer uzupełnia pod kierunkiem słynnego Muzio Clementi, stawiając jednocześnie pierwsze kroki na polu kompozycji, początkowo jako samouk, następnie zaś, zasięgając wskazówek u przyjaciela Goethe'go, cenionego w swoim czasie teoretyka, Karola Fryderyka Zelter'a. W 1810 r. udaje się do Darmstadtu do uczonego księdza Vogler'a, który w ciągu dwu lat wtajemnicza młodzieńca we wszelkie arkana kontrapunktu i fugi Można z pewnością twierdzić, że autor „Hugonotów" całą swoją późniejszą niezwykłą kompozytorską technikę zawdzięcza szkole tego mistrza (u niego się kształcił również Karol Marya Weber), którego też wpływy, aż nadto są widoczne w pierwszem dziele Meyerbeer'a i szablonowem oratorjum „Bóg i natura".

Za nieznaczne powodzenie pierwszych kompozycji (zwłaszcza zaś opery „Alimelek") hojnie wynagradzają młodego muzyka jego tryumfy, jako pianisty, w Monachjum i Wiedniu. Oczarowany grą Hummla, usiłuje w przeciągu dziesięciu miesięcy uzupełnić braki swojej techniki i osiąga wyniki o tyle poważne, iż Weber zalicza go do najpierwszych fortepianistów swojego czasu, Moscheles zaś utrzymuje, że gdyby Meyerbeer całkiem się był poświęcił sztuce odtwórczej, niewielu wirtuozów mogłoby iść z nim w zawody. W późniejszych atoli czasach, oddawszy się wyłącznie pracy kompozytorskiej, zupełnie zaniedbuje fortepian.

W 1816 r. za poradą Salieri'ego Meyerbeer przedsiębierze podróż do Włoch, by tutaj, w klasycznej krainie bel canto owładnąć kunsztem wdzięcznego a efektownego pisania dla głosów. Wrażliwy artysta poddaje się wpływom włoskim tak dalece, że, według własnych słów jego: „po roku, wydało mu się, iż jest rodowitym włochem, wszystkie jego myśli i uczucia stały się włoskiemi". Usiłując zdobyć wdzięczną, płynną i melodyjną formę, z zapałem studjuje zwłaszcza partytury Rossini'ego, aż do nauczenia się ich niemal na pamięć.

W jednym z listów swoich powiada: „Ta okoliczność, iżem w drugim okresie mojej twórczości skłaniał się przeważnie ku włoskiej śpiewności, będzie zupełnie zrozumiałą skoro się rozważy, że nauczyciele moi trzymali mię w nazbyt ścisłych karbach kontrapunktycznej, rozumowej pracy; dokonał się więc w mojej naturze przewrót; uczucie przygniecione do tego czasu polifonicznemi kalkulacjami, dzięki włoskim powiewom i słowiczej melodyce, nietylko się ocknęło, lecz nadto pobudzone zostało do ujawnienia własnej działalności". Istotnie, potrafił nadać tworom swoim tyle lekkości i elegancji, że opery jego we włoskim stylu, pomimo nieograniczonego zachwytu, jaki budziły dzieła „łabędzia z Pesaro" (Rossini), doznały nader pochlebnego przyjęcia.

W krótkim przeciągu czasu następują po sobie: „Romilda e Constanza", „La Semiramide riconosciuta", „Emma di Resburgo", Margherita d'Anjou", „L'esule di Granada", „Almansor", które-to opery, zwłaszcza zaś „Emma", zjednały Meyerbeer'owi duży rozgłos we Włoszech. Szczytem dotychczasowych powodzeń, a zarazem zamknięciem włoskiego okresu twórczości, jest wykończona w r. 1824 opera „Il crociato in Egitto", która, obok wielkiej śpiewności, zdradza już wyczerpującą znajomość warunków dramatycznej muzyki i dokładne obeznanie się z wymaganiami sceny.

W ciągu kilkoletniej przerwy, trwającej aż do r. 1830, już-to czasowem wyczerpaniem się twórczości, już-to, jak chcą niektórzy, okolicznościami natury zewnętrznej (śmierć ojca, małżeństwo z ukochaną od dzieciństwa kuzynką, Miną Mosson, strata dwojga dzieci) Meyerbeer pisze jedynie

kilka psalmów i kantat. W tym również czasie odwiedza Paryż, gdzie nawiązuje ścisłe stosunki z najwybitniejszymi ówczesnymi kompozytorami, Auber'em, Adam'em, Cherubini'm, Kreutrer'em, Kalkbrenner'em, Boildieu'm, dyrektorem Wielkiej Opery, Habeneck'iem i t. d. W jego mieszkaniu przy rue Vivienne gromadzi się kwiat paryskiej inteligencji. Z ubóstwianym wszakże Rossinim nie doszło, o ile się zdaje, do serdeczniejszej zażyłości, pomimo najskwapliwsze zabiegi Meyerbeera i jego ckliwe pochlebstwa.

Pobyt w Paryżu był dlań płodnym w następstwa przedewszystkiem z tego względu, że tu poznaje człowieka, który dzielnie dopomógł mu do pozyskania wszechświatowej sławy, będąc w znacznym stopniu jego pokrewnym z ducha. Człowiek ten—to Eugeniusz Scribe, którego jaskrawo—efektowne libretta jaknajlepiej odpowiadały ideałowi ówczesnej opery heroicznej.

W lipcu 1830 r. Meyerbeer kończy muzykę, do przedłożonego mu przez Scribe'a tekstu „Roberta Djabła" i wręcza ją dyrektorowi Wielkiej Opery. Po usunięciu licznych trudności, po stłumieniu intryg, do których przezwyciężenia nienajmniej się przyczyniły pieniądze kompozytora, na których mu nigdy nie zbywało, i którymi umiał sypać hojnie, gdy chodziło o przygotowanie dla siebie podatnego gruntu, „Robert Djabeł" zostaje wystawiony w Paryżu 22-go listopada 1831 r. i wstępnym bojem zdobywa sobie niesłychaną popularność. Zaślepienie ogólne było tak powszechne, że tylko nieliczne jednostki poznały się na brakach opery. Prasa głosiła istne dytyramby na cześć nowej gwiazdy.

Wszyscy porwani byli łatwo wpadającą w ucho melodyjnością muzyki, jej pobudliwą rytmiką, jej zmysłowym poniekąd urokiem, wreszcie instrumentacją barwną, a obfitującą w liczne, nowe dla owych czasów efekty. Była to muzyka w sam raz dla szerokiego, dalekiego od wytworniejszych uczuć tłumu, który też się nie poznał na jej szumnym patosie i hałaśliwej a często pustej frazeologji. Powierzchownego słuchacza nie raziła ujawniająca się na każdym kroku dążność autora do poświęcania prawdziwego wzniosłego piękna na rzecz jarmarcznego efekciarstwa.

Stosunkowo niewielkie powodzenie „Roberta" w Berlinie, gdzie po raz pierwszy wykonano go 26 czerwca 1832 r., dosyć zimne odezwy krytyki i niechęć wpływowego Spontini'ego zniewoliły Meyerbeer'a do zaniechania pierwotnego projektu osiedlenia się na stałe w stolicy Prus. Powraca więc do Paryża, i po otrzymaniu nowej propozycji od dyrektora Wielkiej Opery, zabiera się do pracy nad „Hugonotami". Najgłośniejsze to z dzieł Meyerbeer'a, zjednawszy mu przeróżne zaszczyty w postaci orderów, honorowych dyplomów i t. d., ujarzmiło wszystkie sceny europejskie i ostatecznie ugruntowało jego sławę. Niewielu ze współczesnych muzyków śród tego chóru uwielbień zachowało niezależność sądu, jeszcze mniej miało odwagę wypowiedzieć zdanie swoje z całą bezwzględną szczerością, wbrew powszechnej opinji. W gronie takich wybranych najjaśniejszym blaskiem świeci potężny a nieubłagany przeciwnik Meyerbeer'a — genialny Robert Schumann. Nikt w takim stopniu się nie poznał na cechującym twórczość autora „Hugonotów" braku szczerości, nikt nie pochwycił tak na gorącym uczynku ducha spekulacji, stale towarzyszącego Meyerbeer'owi a tak charakterystycznego dla rasy, z której pochodził, nikt w swoich ciętych określeniach nie utrafił dotyla w sedno rzeczy, nikt wreszcie z tak szczytnem oburzeniem nie wystąpił w obronie ideałów czystej i wielkiej sztuki. Na dowód przytaczam poniżej we własnym przekładzie wyjątki ze słynnej recenzji „Hugonotów". Artykuł ten został napisany przez Schumann'a po wielokrotnem przesłuchaniu omawianej opery i nie jest wynikiem chwilowego rozdrażnienia lub osobistych uprzedzeń, lecz wypowiedzeniem sądu, który był owocem długiej rozwagi i którego, w stosunku do Meyerbeer'a, nie zmienił do końca życia.

Potwierdza też swoje poglądy następnemi słowy: „Nigdy nie pisałem z tak mocnem przekonaniem, jak obecnie".

Posłuchajmy-ż, jakim jest wyrok jego.

„Nie ochłonąwszy jeszcze z podniosłego wrażenia, jakie uczyniła na mnie pani Schröder—Devrient w Fidelio, poszedłem po raz pierwszy na „Hugonotów". Któżby się nie cieszył, mając w perspektywie coś nowego, któżby jaknajchętniej nie roił! Przecież to Ries we własnej osobie napisał, że niejedną kartę Hugonotów możnaby postawić narówni z tworami Beethoven'a! A jakże wypadł sąd innych, jakże mój własny? O tom bez ogródek przyklasnął słowom Florestana, [1]) który, wygrażając pięściami, wybuchnął: „Słuchając „Krucjaty" uważałem jeszcze Meyerbeer'a za muzyka, „Robert" zbudził we mnie pewne wątpliwości, po napisaniu zaś „Hugonotów" zaliczam go wprost do szalbierzy. Nie zdołam wypowiedzieć, jaką odrazę wzbudziła w nas całość, jaki wywołała wciąż odnawiający się protest; znękało i znużyło nas oburzenie. Po kilkakrotnem wysłuchaniu wyszedł na jaw niejeden ustęp lepszy i zasługujący na pobłażanie, ostateczny wyrok wszakże nie uległ zmianie i widzę się zmuszonym ustawicznie powtarzać tym wszystkim, którzy się poważyli bodaj zdaleka porównać „Hugonotów" do „Fidelia" lub innego podobnego dzieła: nie znacie się na rzeczy, nie znacie się zgoła! W nawracanie zresztą się nie wdawałem; praca poszłaby na marne. —Rozważcie tylko, obaczcie, kędy wszystko zmierza! W akcie pierwszym—hulanka samych mężczyzn, a śród nich (co za wyrafinowanie!) jedna tylko kobieta, lecz zawoalowana; w drugim — baraszki niewiast w kąpieli, jako dodatek zaś jeden mężczyzna, lecz z zasłoniętemi oczyma. W trzecim akcie mamy mieszaninę rozpusty z bigoterją; w czwartym widzimy przygotowania do mordu, a w piątym jesteśmy przytomni dokonaniu jego. Niemasz nic w „Hugonotach" prócz rozpasania, bijatyki i obłudnych modłów; próżno by tam szukać jakiejś czystej myśli, jakichś prawdziwie chrześcijańskich uczuć. Wszystko jest zrobione na obstalunek, wszystko jest pozorem i kłamstwem. I wszystko to się podoba, ponieważ się ładnie wydaje i pochodzi z Paryża! A mądrala kompozytor pociera ręce z radości!"

D.N. *St. Bronikowski.*

▫ ▫ ▫

[1]) Krytyczne artykuły Schumann'a odznaczały się wielką zmiennością tonu. Chcąc zaznaczyć niejako dwoistość swojej natury, jej płomienność i marzycielstwo, w licznych recenzjach swoich każe naprzemiany przemawiać Florestanowi i Euzebiuszowi, z których pierwszy ma być uosobieniem bezwzględnego, ostrego krytycyzmu, drugi zaś—miękkiego, poetyckiego nastroju.

Odczyty prof. W. Lutosławskiego w Kijowie.

III.

O hegemonji chrześcijańskich narodów.

Mówiąc o przewadze narodów chrześcijańskich, prelegent podkreślił różnicę świata chrześcijańskiego i klasycznego,—Starożytnego, Rzymian, Egiptu, Chin i t. d.

Przedewszystkiem, jako objaw tej hegemonji, spostrzegamy długotrwałość dynastji i państw chrześcijańskich. Niektóre istnieją po 1500 lat. Takich dynastji, jak Habsburgów, jak dynastje francuskie, angielskie, hiszpańskie — starożytność nie znała.

W wielkości państw klasycznych i starożytnych jest wiele przesady, powiedziałbym wypływającej ze złudzeń optyki retrospektywnej.

Zawdzięczając tej energji i żywotności narodów chrześcijańskich garstka narodów zachodnich panuje nad całą ziemią. Wobec wielkości: Imperjum Brytańskiego, mającego swoich prokonsulów, sędziów w Indjach—blednie gwiazda Rzymskiego Cesarstwa. Nawet, jeśli ważyć rozległość wpływów, to małe Państwo Holenderskie ma większy wpływ niż całe imperjum. Czy nie jest podziwu godnym, że garstka z 1 miliona ludzi w Indjach utrzymuje ład wśród 300 milionów?

Cechą kultury chrześcljańskiej jest opieka nad słabszym.

Taka rzecz, jak udzielenie konstytucji w Transwaalu, nie odpowiadałaby rzymskiemu duchowi. Widzimy dążenie narodów chrześcijańkich do pojednania i związków.Widzimy przykłady Unji narodów co przez lata ze sobą walczyły.

Taki związek, jak związek Francji z Anglją jest związkiem nierozerwalnym, bo jest to związek zachodniej chrześcijańskiej cywilizacji przeciwko barbarzyńskiej. A wszak te państwa wiodły ze sobą 100-letnią wojnę.

Takie związki jak międzynaradowe pocztowe, wymiany wzajemnej publikacji między akademjami, uniwersytetami, towarzystwa ochrony kobiet—nie mogły istnieć w państwach pogańskich.

Największa organizacja, do której należy więcej niż 300 miljo ów ludzi, ma jednego wodza! Żadna wiara starożytna nic podobnego nie wytworzyła.

W dalszym ciągu prelegent wskazał na różnicę, zachodzącą pomiędzy duszą chrześcijańską i duszą człowieka czasów klasycznych.

Jakież są źródła istotne tych sił, które tak ludzi przetwarzają od czasów Chrystusa, w czem ta potęga?

A oto — w przeświadczeniu o nieśmiertelności duszy, w autonomji sumienia indywidualnego. Sumienie i dusza nieśmiertelna, to są dwie rzeczy adekwatne*).

Dalej, ta siła tkwi również w zniesieniu niewolnictwa, króre było uważane za rzecz konieczną nawet przez najmędrszych: Platona, Arystotelesa. Człowiek chrześcijański nie jest pionikem jak na Wschodzie, ale siłą samoistną.

Zasadniczą zmianę w społeczeństwie chrześcijańskiem widzimy w stanowisku kobiety, w jej wyzwoleniu, w zniesieniu poligamji.

Prawo rozwodu niema trwałości (gdy u Mojżesza dość listu rozwodowego). Chrześcijanizm wysoko wzniósł hasło romantycznej miłości, miłości absolutnej (miłości, że użyjemy terminologji Kanta — „samej w sobie“), miłości przemieniającej często rozpustnika w człowieka cnotliwego.

W krajach, gdzie panuje taka miłość, rodzi się więcej genjuszów i świętych.

Gdy prelegent mówił o związku duchów, o gatunkach ducha, o życiu duchem, przebudzeniu się ze snu pogańskiego—to był to entuzjastyczny eksces intellektualny graniczący z orgiazmem, jeden okrzyk natchnionej duszy...

Po odczycie wywiązała się ożywiona dyskusja, w której wzięli udział: inż. Dąbrowski, adw. Łukasiewicz, p. Z. Mostowski, p. Parasewiczówna, inż. St. Wolski i w. in., oraz paru studentów, którzy dowiedli, że umieją formułować myśli w słowie, co stanowi rzadkie dziś niestety wśród studentów zjawisko, jak o tem świadczą chociażby smutne obserwacje „Memorjału“ Senatu Jagiellońskiego.

Piszącemu te słowa głęboko zapadły do duszy te obserwacje „Memorjału“ Senatu Jagiellońskiego, gdyż sam od lat paru piastuje myśl otworzenia „Akademji literackiej“, t. j. na razie kursów „formułowania myśli w słowie i w piśmie“, a następnie kursów probierczych dla zaczynających adeptów pióra, wreszcie wyższego cenzorjum dla oceny talentów.

Na wszelkie zagadnienia i problematy o stosunku zjawisk socjalnych do chrześcijanizmu, o harmonji świata i życia tu na ziemi—prof. Lutosławski zapatruje się „sub specie aeternitatis“ i Łaski Bożej.

Zaznaczył też profesor smutne zjawisko, że w Polsce trudno żyć z pióra dla braku intensywnego życia umysłowego w społeczeństwie.

St. Gliński.

*) Powiedziałbym, pierwsze jest ziemskim substratem drugiego.



Wolna trybuna.

Homo homini lupus.

Starożytne to orzeczenie Rzymian powinno by, zdaje się, znaleść zaprzeczenie w społeczeństwach chrześcijańskich.

A jednak „człowiek człowiekowi jest wilkiem“, pomimo propagandy miłości bliźniego, pomimo nawoływań pionierów cywilizacji — istnieje.

Państwa, narody, rasy, wyznania religijne, prześcigają się w nienawiści wzajemnej.

Zdawałoby się jednak, że w społeczeństwach uciśnionych i upośledzonych od losów, powinno być inaczej. A jednak czy tak jest?

Spójrzmy na stosunki społeczeństwa polskiego—choćby tu, na Ukrainie.

Czy jakabądź solidarność istnieje między nami? Pomimo garści ludzi zacnej woli i wielkiej ofiarności, którzy robią wysiłki szlachetne, — ogół zachowuje się w najlepszym razie obojętnie. Potrzeba jakichś katastrof żywiołowych, w guście pamiętnego wypadku na Dnieprze,—aby ten ogół się odezwał.

Czy interesuje nas los jednostek? pomyślność ich? O tyle, aby mieć pole do zazdrości. A wszak z jednostek składa się ogół; my zaś plotkujemy i szkalujemy się wzajemnie. Nienawiść wzajemna, powiedzmy otwarcie, panuje w naszem środowisku.

W Kijowie przebywa wielka ilość jednostek, wyrzuconych przez zawistne losy na bruk miejski, łamiących się z przeciwnościami. Czy ktokolwiek bądź interesuje się takimi rozbitkami? Nie mówię tu o materjalnem poparciu, ale dobrą radą, odpowiednią pomocą przez swoje stosunki niejednego możnaby uratować od zguby.

Wszak niedawno pewien buchalter z profesji, człowiek w sile wieku, szlachetny, inteligentny, zakończył życie samobójstwem. Brak pracy był temu przyczyną. Przebrzmiało to bez echa,— nawet w prasie.

A propos prasy miejscowej. Czy znajduje ona poparcie w społeczeństwie? Krytykować umimy, zapoznać się jednak z nią bliżej — nie mamy ochoty: wystarcza dla wielu z nas miejscowa gazeta rosyjska, wprawdzie dobrze redagowana, ale często wypowiadająca poglądy, wręcz nam wrogie.

Każde powstanie nowego organu prasy zbywamy ironicznym uśmiechem i zawczasu nucimy „de profundis“.

Czy tak być powinno?

Nasze sfery handlowe chorują również na brak solidarności. Firmy zwalczają się wzajemnie, często nie przebierając w środkach. Ludzkie to, a jednak nasi współobywatele mojżeszowego wyznania, choć między sobą również konkurują, to wszakże nie przeszkadza im do ścisłej solidarności, manifestującej się pod rozmaitemi postaciami.

Gorzkie to prawdy. Sądzę jednak, że są one bardzo na czasie.

Kijów. *Teo.*



NOWE KSIĄŻKI

Eugenjusz Starczewski. „Możnowładztwo polskie na tle dziejów“. Tom pierwszy. Warszawa. Kraków. Nakład Gebethnera i Wolffa.

Założeniem dzieła, którego tom pierwszy (liczący około siedmiuset sronnic druku w formacie większej ósemki) leży przed nami, jest zarys dziejów (począwszy od XIV wieku) możnowładztwa polskiego, oraz polskiej arystokracji w czasach porozbiorowych. W obec znaczenia, jakie możnowładztwo, jako wynik wadliwej struktury społecznej, posiadało w Rzeczypospolitej, dzieje jego przedstawiają temat olbrzymi i bardzo ważny, a jak dotąd niedostatecznie uwzględniony w naszej historjografji. Wyświetlenie pierwotnych przyczyn spaczenia społecznej budowy, polegającego na nierównomiernym podziale na stany (jeden może z głównych powodów naszego upadku), tudzież wiernie odtworzony obraz roli, jaką możnowładztwo odgrywało w różnych epokach państwowego bytu Polski, uważa autor za naglącą konieczność, mniema bowiem, że bez wskazań, jakie jedno i drugi przynoszą, wszelka praca, mająca na celu odrodzenie, musi być skazana zgóry na nowe błędy i wywołać dalsze zawody i rozczarowania. Dla tego też główną uwagę zwraca autor na XVII i XVIII stulecie, to jest na okres, w którym zwyrodnienie możnowładztwa uwidocznia się najszkodliwej, a w którym to okresie zdobywa ono wśród powszechnego rozstroju i anarchji wpływ potężny. Cenna monografja Eugenjusza Starczewskiego zwrócić powinna uwagę naszych historyków i polityków.

Sieroszewski Wacław Nowele.—„Powrót“. — „Wachlarz japoński“. — „Jak Gryf Mostowski budował młyn?“ Kraków.

Swieżo wydany tom nowel znakomitego pisarza przypomina żywo najświetniejsze karty Sieroszewskiego. W pierwszej noweli rzecz dzieje się wśród Jakutów, w drugiej na statku japońskim, w trzeciej wśród wygnańców sybirskich. Najcenniejszy w tym tomie jest—Gryf Mostowski. Rzecz pisana z ogromnym spokojem, subtelna w rysunku, cicha w ironji, głęboka w analizie i psychologji postaci.

Pamiętniki Stanisława Augusta. Nakładem Petersburskiej Akademji Nauk wydany został tom I-y pamiętników Stanisława Augusta w opracowaniu Sergjusza Gorainowa („Memoires du roi Stanislas —Auguste Poniatowski“ tom I. St.-Petersburg, 1914, 8, str. XV i 720. Cena rb. 5, franków 11).

Tom pierwszy tej wysoce interesującej publikacji naukowej obejmuje lata 1723—1772.

Wacław Szelążek. „Kłosy i kąkole“. Poezje. Wydanie Gebethnera i Wolffa. Warszawe 1914.

Autor o widocznym talencie poetycznym dał nam w tym zbiorku dużo ładnych wierszy i obrazów. Realnie odtwarzane życie, umiejętnie połączone z poezją, i spokój moralny, jaki cechuje każdy prawie wiersz, sprawiają, że nie zajmuje on wcale ostatniego miejsca wśród nowych poetów, a słabsze jego utwory nikną wśród innych, liczniejszych, a lepszych. Książka ta warta jest przeczytania.

Marya Bartusówna, szkic biograficzno-literacki; napisał Adam Stodor. Wydane we Lwowie nakładem Macierzy Polskiej, 1914.

Bliższem zaznajomieniem czytelników z pracą A. Stodora zajmiemy się w jednym z następnych № „Kłosów Ukraińskich“.

Leon Choromański. „Pościg za słońcem“, zbiór nowel i szkiców. Nakładem księgarni J. Mortkowicza. Warszawa 1914.

Juljusz Kaden. „Zbytki“, nowele. Nakładem spółki nakładowej „Książka“. Kraków, 1914.

Od Zarządu Koła Literatów i Dziennikarzy Polskich.

„Zarząd Koła Literatów i Dziennikarzy Polskich w Kijowie“ na ostatniem swem posiedzeniu uchwalił zebrać dla księgozbioru „Koła“ komplety polskich wydawnictw, które ukazywały się w Kijowie po roku 1905. Zarząd „Koła“ zwraca się więc za naszem pośrednictwem do osób, posiadających komplety lub luźne nawet numery pism pomienionych, z prośbą o sprzedanie ich lub zaofiarowanie „Kołu Literatów“, przyczyniając się w ten sposób do utworzenia zbioru, którego brak dla przyszłych badaczy polskiego ruchu publicystycznego na Rusi może być bardzo dotkliwy i niepowetowany.

Poszukiwane są bądź komplety, bądź luźne numery następujących pism: „Głosu Kijowskiego“, „Świtu“, „Kresów“, „Kurjera Kresowego“, „Naszej Przyszłości“, „Głosu Katolickiego“, „Przeglądu Krajowego“, „Gazety Kresowej“, „Ludu Bożego“ (pierwsze roczniki) i ostatnie numery ewentualnie komplety „Białego Pawia“ oraz wydawanego w Płoskirowie „Tygodnika Podolskiego“.

Poza tem „Koło“ poszukuje kompletów z ostatnich lat istnienia „Kraju“, szczególnie z okresu, gdy pismo to było wydawnictwem codziennem.

Osoby, które zechciałyby przyjść z pomocą „Kołu Literatów“ w tej sprawie—zechcą zawiadomić „Koło“ listownie, jakie mianowicie komplety lub numery luźne poszukiwanych wydawnictw mają do sprzedania lub zaofiarowania.

Adres: Kijów, Kreszczatyk 38—Zarząd Koła Literatów i Dziennikarzy Polskich.

NAKŁADEM KIJOWSKIEJ SPÓŁKI WYDAWNICZEJ.
Redaktor i wydawca: Jan Ursyn-Zamarajew. Czcionkami Drukarni Polskiej w Kijowie

№ 5—6. MAJ 1914 ROKU. № 5—6.

Rolnik Ukraiński

Cukrownik — Gorzelnik — Hodowca — Leśnik — Ogrodnik — Meljorator.
Bezpłatny dodatek do „Kłosów Ukraińskich“.

Redakcja i Administracja: Kijów, Michałowski zaułek 14.

O NOWYCH POGLĄDACH STOSOWANIA NAWOZÓW POMOCNICZYCH.

W № 45 „Gazety Rolniczej“ z roku przeszłego, pp. Epsztein i Gebethner poruszyli kwestję niesłychanie ważną dla naszego rolnictwa, której podstawą posłużyły badania pp. Demolon i Bronet kierowników stacji rolniczej w l'Aisne we Francji.

Poruszona kwestja staje się tym poważniejszą, że gospodarstwa nasze w przeważnej liczbie znajdują się pod kierunkiem dyletantów lub praktyków, potrzebujących i żądnych wiedzy, szerzonej przez pisma rolnicze. To też podawanie wiadomości, dotyczących gospodarstwa rolnego, powinno być jasne, treściwe, bo każdy fałszywy krok drogo trzeba opłacać—i wprowadza się bałamuctwo pojęć o kwestjach zbadanych choć niedosyć znanych.

Celem wzmiankowanego artykułu jest wskazanie nam rolnikom nowego sposobu stosowania nawozów pomocniczych. Artykuł ten był nawet czytany na posiedzeniu Lubelskiego Rol. Tow.,—niedość natem—autorowie mówią, że i w Niemczech doświadczenia pp. D. i B. oceniono bardzo pochlebnie.

Myślę, że uznanie dla prac doświadczalnych, o ile one mogą mieć znaczenie praktyczne i my zamanifestować powinniśmy, ale w danym razie nie widzę, aby pp. D. i B. dali nam rzeczywiście coś pozytywnego. Doświadczenia ich mają znaczenie czysto laboratoryjne i gabinetowe, z czym zresztą i pp. Epsztein i Gebethner zdają się godzić.

Rozpatrzmy bliżej wzmiankowany artykuł. Na wstępie jest mowa o rozbieżności rezultatów na polach doświadczalnych.

Aby różnic tych uniknąć, nieodzownym jest wyznaczenie pod próbne poletka kawałka ziemi, jednakowo w ciągu lat nawożonego, obrabianego, obsiewanego etc.; następnie doświadczenia muszą być prowadzone nadzwyczaj akuratnie, to jest sumiennie i bez błędów. Wtedy jeszcze mogą być różnice, ale otrzymane dane będą miały praktyczną wartość.

Na pytanie, pogłównie, czy pod rośliny dawać nawozy pomocnicze? —odpowiem tak:

Przed 25 — 20 laty pytanie to było postawione rolnictwu w kraju Południowo-Zachodnim, to też dwadzieścia zgórą lat szukaliśmy odpowiedzi. Przeprowadzono tak wiele doświadczeń, że można z otrzymanych liczb napisać tomowe dzieło.

Doświadczeniami zajmowali się ludzie kompetentni—i prowadzono je w różnych warunkach klimatycznych bo w Kijowskiej, Podolskiej, Wołyńskiej, Charkowskiej, Ekaterynosławskiej, Połtawskiej, Chersońskiej, Czernihowskiej i sąsiednich guberniach.

Różnice poszczególnych wyników były częstokroć bardzo znaczne, i jest to uzasadnione, jeżeli

weźmiemy pod uwagę różnicę warunków na tak olbrzymich przestrzeniach.

Ja sam przeprowadziłem wiele prób w bardzo różnych warunkach i z rozmaitemi kombinacjami stosowania nawozów pomocniczych pod zboża, buraki, kartofle i trawy.

W otrzymanych wynikach nigdy mi się nie zdarzyło aby np. kwas fosforowy, stosowany w superfosfacie, precypitacie lub tomasówce nie, reagował na uprawiane rośliny. To też dziwnym się wydaje zdanie autorów artykułu, że superfosfat, zadany pod oziminę bez saletry, na ziemiach wyjałowionych nie działał.

Przed ośmiu laty, aby zachęcić włościan do stosowania tomasówki pod żyto, na ich nigdy nie gnojonych trzypolówkach (w warunkach ,,obszczynnego" władania ziemią), kazałem przejść siewnikem „Westfalja" wpoprzek ich pól przed siewem żyta, dając po 14 pudów tomasówki 14% w stosunku na morgę. Czterech włościan pole jeszcze nie było zorane. Po tygodniu zasiano żyto rzutowo naturalnie pod ekstyrpator lub rodło, czterech tylko przyorało tomasówkę dwuskibowcami na głębokość 6—8 cali.

Te pasy z tomasówką były widoczne już w jesieni. Na wiosnę i aż do zbioru różnica była rażąca na oko, z wyjątkiem czterech działów, gdzie tomasówkę przyorano.

Rezultat był taki, że tomasówka dana pod ekstyrpator dała 15 pudów żyta więcej z morgi i 18 pud. słomy. Z działów zaś przyoranej tomasówki nadwyżka urodzaju była 6 pud. ziarna i 7 pud. słomy.

W następnym roku na jarych zasiewach jeszcze były widoczne różnice—i owies dał 8 pud. ziarna i 12 pudów słomy, a z przyoranych działów 3 pudy ziarna i 4 pudy słomy.

Doświadczenie to, choć dorywcze, przytoczyłem jako dowód, że błędem jest twierdzenie, jakoby fosfor nie działał na ziemiach wycieńczonych. To proste doświadczenie, zrobione jako demonstracja dla włościan, jest chyba dostatecznym dowodem.

Twierdzenie autorów artykułu, że mało zajmowano się u nas zbadaniem sposobów stosowania nawozów, jest również nieuzasadnione. Właśnie drogą prób i doświadczeń przez przeciąg dwudziestu zgórą lat doszliśmy do konkretnych danych, że stosowanie kwasu fosforowego, tylko s i e w n i k i e m k o m b i n o w a n y m w ilościach nieznacznych, jak np. 4-6 pud. pod buraki i 5-8 pod pszenicę—w superfosfacie, jest najwłaściwsze, bo daje maximum nadwyżki urodzaju.

Wachania + —, nawozów fosforowych mogą decydować tylko lokalne warunki gleby danego gospodarstwa.

Stosowanie superfosfatu rzutowo jest wadliwe z następujących przyczyn, uzasadnionych wieloletnią praktyką i czysto rozumowymi wywodami. Wiadomo nam np., że sfera rozlokowania systemu korzeni roślin uprawianych jest: dla buraków poczynając od 2 do 8, dla kartofli od 3 do 10 i dla zbóż od 1 do 6 cali. Przyczem główna ilość ważniejszych włoskowatych korzeni jest umieszczona znacznie wyżej, a następnie już idą korzenie grubsze. Tłumaczy się ten objaw tym, że w górnych warstwach słojów gleby uprawianej, są ześrodkowane największe masy bakterji gleby przygotowujące pokarmy dla roślin. Dowodem tego służy fakt, że najwięcej kwasu węglowego wydziela się właśnie na głębokości do 20 cent. czyli 8 cali—warstwy rodzajnej gleby. [1]). J e s t t o z a t e m ś r o d o w i s k o, w k t ó r e m p r z y g o t o w u j ą s i ę p o k a r m y d l a r o ś l i n—t u w i ę c t r z e b a l o k o w a ć m a t e r j a ł y.

Zadawanie nawozów pomocniczych w dostatecznej ilości w warstwie ziemi do 10 cali grubej, musiałoby być bardzo znaczne — a więc wynoszące 20--30 pudów superfosfatu, lub dwa razy tyle tomasówki na morgę, co stanowiłoby koszt 14 — 21 rb. Ponieważ działanie kwasu fosforowego ogranicza się do jednego roku w superfosfacie, a w tomasówce rozkłada się korzystnie na dwa lata i nieznacznie także i na trzeci rok, gdyż później następuje retrogradacja kwasu fosforowego, czyli stan słabo przyswajalny, szczególniej w lata suche i przy nieumiejętnym zachowaniu wilgoci w glebie; musielibyśmy więc co roku dawać takie ogromne dawki kwasu fosforowego w superfosfacie, lub co dwa lata w tomasówce. Byłoby to podwójnie nie logiczne: — najpierw ze względu na koszt, następnie, co jest jeszcze ważniejsze — ze względu na deprymujące działania nadmiaru chemikalji na normalny rozwój i pracę drobnoustrojów w glebie, o d k t ó r y c h c a ł k o w i c i e z a l e ż y u r o d z a j.

Z powyższego wynika, że nie można przyorywać nawozów pomocniczych na pełną głębokość warstwy rodzajnej, byłby to błąd dotkliwy w skutkach dla kieszeni tych, którzyby teorje pp. D e m o l o n i B r o n e t stosować zechcieli.

Niejednokrotnie słyszy się zdania, że gleba powinna być napełniona potrzebnymi środkami dla żywienia roślin i podobne zdania głoszą ludzie światli, poważni, nie znaczy to jednakże, aby podobne poglądy były uzasadnione. Gleba powinna mieć niezbędne dla wydania maximum urodzaju materjały, ale nie może być stodołą, czy spiżarnią zaopatrzoną na X lat, bo ona żyje, a więc praca w niej wre bez względu na to, czy ją zasiano czy nie. Procesy biologiczne trwają tam bezustannie, a myśmy powinni je wyzyskać możliwie najkorzystniej dla naszych celów gospodarsko-rolniczych.

Stosowanie nawozów pomocniczych ma na celu doraźną pomoc w żywieniu roślin, ewentualnie — podwyższenie urodzaju, dla tego powinniśmy dawać nawozy w formie łatwo rozpuszczalnej, aby one prędko się opłacały.

Długą drogą doświadczalną doszliśmy do następujących pewników praktycznych: a) działanie su-

[1]) Szczegółowa tablica tych danych na stronicy 70-tej podręcznika p. t.: „Jak należy uprawiać buraki cukrowe" przez J. A. Mejera.

perfosfatu ogranicza się czyli kończy w jednym roku, b) działanie tomasówki rozkłada się tak:

w pierwszym roku $^{6}/_{10}$, w drugim roku $^{3}/_{10}$ i w trzecim roku $^{1}/_{10}$. Wahania może wywoływać mniej lub więcej dokładne przygotowanie superfosfatu lub tomasówki;

c) azot, zadany w saletrze, działa tylko w jednym roku. Stosowanie saletry pogłównie jest błędem i powinno być raz na zawsze zaniechane;

d) działanie soli potasowych sprowadza się czyli ogranicza także tylko do pierwszego roku.

Na zapytanie, czy przy suszy można zmniejszyć ilość zadawanych nawozów pomocniczych—można odpowiedzieć tak: my tu w kraju Południowo - Zachodnim przy klimacie kontynentalnym, stosujemy małe dawki nawozów pomocniczych, ale wyniki mamy bardzo różne, a to z tej przyczyny, że na porządnie obrabianych ziemiach wilgoci jest zawsze dosyć, w gorzej uprawianych mniej, a w kiepsko uprawionej roli panuje stale susza; to też tam i działanie nawozów pomocniczych jest słabe. To znaczy, że wyzyskanie nawozów pomocniczych zależy w zupełności od kompetencji gospodarza, czyli dobrej uprawy roli i co za tym idzie—umiejętnego zachowania wilgoci, która jest podstawą produkcyjnej pracy drobnoustrojów gleby i spodziewanych plonów.

Różnice te ujawniają się najwyraźniej tam, gdzie rozsiewają nawozy pomocnicze rzutowo, przy stosowaniu siewnika kombinowanego, znacznie mniej, z tej przyczyny, że tu kwas fosforowy dłużej zostaje w stanie rozpuszczalnym wskutek mniejszej ilości tlenków, tworzących związki nierozpuszczalne ($CaO\ Fe_2O_3$, Al_2O_3).

Na tej też podstawie zbudowaliśmy siewnik kombinowany, który tu u nas dziś jest według mnie—doskonały. Dziwi mnie też, że Królestwo Polskie, które nam zawsze przodowało w kulturze rolnej, nie wprowadziło dotąd tej pożytecznej maszyny. [1]).

[1]) Kwestja ta na łamach „Gaz. Roln." i „Rol. i. Hod." uznana jest do tej pory za otwartą. (Przyp. red.).

Na pytanie autorów artykułu, „jakie są zasady, dające nam wskazówki do racjonalnego postępowania bez ryzyka i zawodu?" —mogę odpowiedzieć śmiało, że dziś tylko stosowanie superfosfatu i w wielu razach tomasówki siewnikiem kombinowanym!

Być bardzo może, że „jutro" da nam jakiś inny lepszy sposób — ale tymczasem praktyczniejszej odpowiedzi dać nie mogę.

Na pytanie: „co się dzieje z resztą niewyzyskaną nawozów pomocniczych, czy są stracone dla plonów, czy też będą one z nich korzystały? można odpowiedzieć, że „w przyrodzie nic nie ginie", a więc i w glebie, tym środowisku życia drobnoustrojów, bo gdyby było inaczej, ustałaby praca biologiczna gleby. Tymczasem widzimy, że przy konsekwentnej pracy naszej produkcyjność roli podnosi się — wzrasta nieustannie.

Rola sama przy pomocy bakterji jest fabryką nawozów pomocniczych. O tym wiemy chyba wszyscy. Wiemy też, że np. tomasówka zawiera:

Kwasu fosforowego	10—25%
Kwasu krzemowego	8—16%
Wapna	30—50%
Magnezji	2— 5%
Tlenku żelaza	1—10%
Niedotlenku żelaza	6— 10%
Tlenku manganu	6—15%

Z wymienioych składników najchętniej absorbuje rola kwas fosforowy, o ile jest przygotowany w formie łatwo rozpuszczalnej dla gleby, następnie idą inne kwasy, np. krzemody, a nakoniec wapno, którego działanie rozkłada się na kilka lat. Wiadomo nam, że tylko ta tomasówka, która zawiera wysoki % kwasu fosforowego, rozpuszczalnego w cytrynianie amonowym, albo w kwasie cytrynowym, ma duży wpływ na urodzaj, ta zaś, która zawiera mały % rozpuszczalnego kwasu fosforowego, źle działa.

Na tej podstawie Wagner otrzymał z przeprowadzonych doświadczeń następujące rezultaty:

Próbki tomasówki	Ogólna zawartość kwasu fosfor. w %	Rozpuszczaln. kw. fosfor. w %	Rozpuszcz. kw. fosf. w stos. procent. do ogól. ilości	Względna rozpuszcz. kw. fosfor.	Stosunkowy efekt nawozowy
1	8,49	8,44	99	100	100
2	16,84	14,17	84	85	80
3	18,04	14,48	80	81	72
4	16,34	11,68	71	72	72
5	18,56	13,47	73	73	66
6	18,49	13,91	75	75	63
7	23,90	9,28	39	39	40
8	22,78	10,79	37	37	38
9	24,62	10,34	42	42	38
10	19,57	8,67	44	44	31
11	24,29	9,12	38	38	30

Z podanych liczb wynika, że najlepsze rezultaty dała tomasówka o najwyższej zawartości kwasu fosforowego.

W dalszym ciągu Maercker dowiódł, że dobrze przygotowana tomasówka i w następnym roku daje lepsze wyniki, niż ta, która zawiera słabo rozpuszczalny kwas fosforowy.

Z tego wypływa, że o ile nawozy fosforowe są przygotowane dobrze, o tyle kw. fosf. jest łatwo rozpuszczalny w glebie i zużytkowany przez rośliny prędzej—i odwrotnie.

Co do pytania o dyfuzji i wypłukiwaniu pokarmów nawozowych, to są one tak nieznaczne dla naszych praktycznych celów, jak to dowiodły prace Maerckera, że o nich możemy być zupełnie spokojni.

JAN ADOLF MEJER.

□ □ □

Gipsowanie koniczyny.

Koniczyna należy do rzędu roślin, wymagających w ziemi znacznych zapasów pokarmów wapiennych, i dlatego znakomicie opłaca się, zarówno wapnowanie roli, na której ma być posiana, jak i gipsowanie samych roślin.

Nawożenie roli, na której ma być posiana koniczyna 80-ciu 100-ma pudami wapna palonego na morgę, bardzo często podnosi urodzaj siana o 100 do 200%. To samo da się powiedzieć o gipsowaniu. Doświadczenia wykazały, że gips, użyty w odpowied-

niej ilości (około 10 pud. na morgę) jako nawóz powierzchowny na koniczynę na gruntach gliniasto-piaszczystych, podnosi urodzaj o 40 do 50 pud. siana z morgi. Na gruntach wapiennych, mocnych gliniastych, lub też wilgotnych i sapowatych, gips—prawie żadnego efektu nie daje.

Gipsować koniczynę można jesienią (tegoroczne zasiewy) lub też wiosną, kiedy na 3—4 cale urośnie. Jesienne gipsowanie wpływa dodatnio na wzmocnienie roślinek koniczyny i tem samem—na lepsze przezimowanie.

Gips używany do gipsowania powinien być jaknajmielej zmielony, zawierać nie mniej jak 90% siarczanu wapna ($CaSO_4 2H_2O$) i być suchym. Ten ostatni warunek należy koniecznie mieć na względzie, bo wilgotny gips prawie żadnego rezultatu nie daje.

Gips należy rozsiewać wczesnym rankiem, kiedy roślinki koniczyny pokryte są obfitą rosą, a gdy rosa oschnie, odłożyć gipsowanie do następnego dnia. Podczas deszczu, i zaraz po deszczu gipsować nie należy, albowiem zbytnia ilość wody, znajdująca się na listkach koniczyny, przy najmniejszym wietrze pociąga za sobą gips na ziemię, wobec czego na listkach nie zostaje, a w formie małych grudek bywa spłukany na ziemię.

Dotychczas nieznaną jest teorja działania gipsu na zwiększenie urodzaju koniczyny.

Z wielu hypotez, stawianych w tej kwestji, najprawdopodobniejszem wydaje się twierdzenie, że gips wpływa na uruchomienie zapasów potasu w ziemi.

Ale zdaje się, że ostateczny ten wynik działania gipsu bywa poprzedzony całym szeregiem procesów i reakcji chemicznych i fizjologicznych, powstałych w roślinie pod wpływem zetknięcia się wilgotnych listków koniczyny z gipsem. Przynajmniej praktyka poucza nas, że gips rozsiany w suchą pogodę na suchą koniczynę znacznie mniejszy efekt wywołuje, niż przy zachowaniu poprzednio wymienionych warunków.

Gips można rozsiewać rękami, ale daleko lepiej do tego celu używać siewników, naprzykład: Westfalja, siewnik amerykański do grabi Tiger i innych.

ST. TARGOŃSKI.

□ □ □

Ciągówki i samochody parowe.

IV.

Opisując w poprzednim numerze ciągówki firmy Case, zaznaczyliśmy, iż one w ogólnych zarysach charakteryzują i ciągówki wysokokołowe innych firm.

Dla porównania zamieszczamy jeszcze rycinę znanej na Ukrainie ciągówki z fabryki Oil Pull Co. Rummely. Porównując ryciny ciągówek Case i Rummely, widzimy pewne różnice w ich konstrukcji, lecz na ogół typ maszyn jest ten sam.

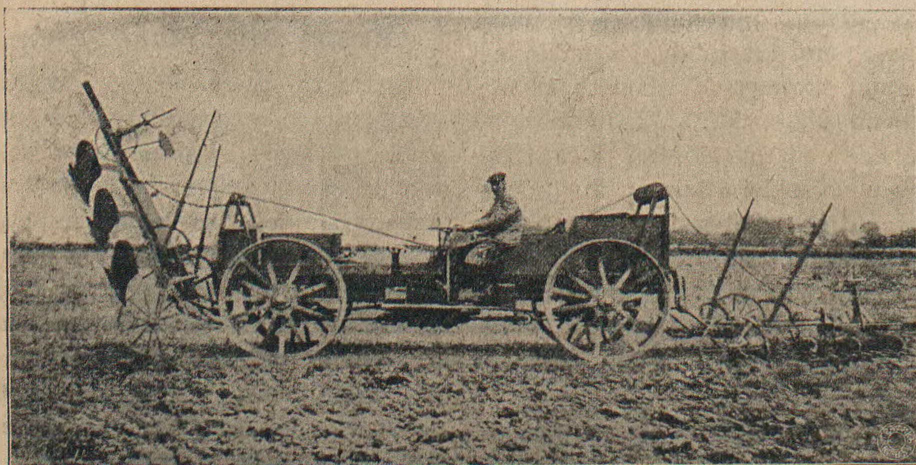
Ponieważ, dla braku miejsca, nie mamy możności opisać szczegółowo bodaj tylko systemy ciągówek, pracujących obecnie na Ukrainie, ograniczymy się wyliczeniem firm, których wysokokołowe ciągówki u nas już znalazły zastosowanie, a więc: Pioneer, Hart-Paar, Międzynarodowej Harvester Co. i Joel.

Jak to już mówiliśmy, całą moc, rozwijaną przez silnik, przenosi u wysokokołowych ciągówek trybowa przekładnia na tylne koła, które służą nietylko jako oparcie i środek uruchomienia samej maszyny, lecz, przy dostatecznem przywieraniu do ziemi— wykonują pracę, ciągną pługi, czy inne ciężary. Im cięższą jest praca, którą maszyna ma wykonać i im mniej zwartym jest grunt, po którym się posuwa maszyna, tem większą musi być płaszczyzna przylegania kół do ziemi, i dla tego to koła ciągówek, o napędzie na jedną parę kół, muszą być bardzo wysokie i szerokie. Lecz i te olbrzymie, sążniowej wysokości, koła zwykle niedostatecznie mocno do powierzchni ziemi przywierają, nakłada się więc na nie dodatkowe uzbrojenia, jak różnego rodzaju listwy i nasady, wgłębiające się w ziemię. Często jednak i te pomocnicze oporniki nie zabezpieczają kół, od ślizgania się, a przez to tylko część siły, rozwijanej przez silnik, zużytkowuje się jako pożyteczna praca.

Znacznie lepszy wynik wyzyskania siły silnika osiąga się, rozkładając pracę nie na dwa, lecz na wszystkie cztery koła ciągówki. Przy takiem urządzeniu koła mogą być znacznie niższe i węższe, bez zmniejszenia sumy powierzchni kół, która przylega do ziemi.

Otóż takie ciągówki buduje czeska fabryka Michl'a w Szlanie, a załączona rycina przedstawia ciągówkę z pługami podczas orania.

Na niskim wozie znajduje się (na rycinie niewidoczny) wybuchowy czterocylindrowy silnik automobilowego typu; pod wozem rozłożone są przekładnie do przedniej i do tylnej osi, w taki sposób urządzone, że prowadzący maszynę, za pomocą dźwigni, dowolnie łączyć może z silnikiem samą tylną oś, dając napęd tylko na dwa koła, lub też obydwie osie, z napędem równocześnie na wszystkie cztery koła ciągówki. Podczas orania przekładnie łączą w pracy



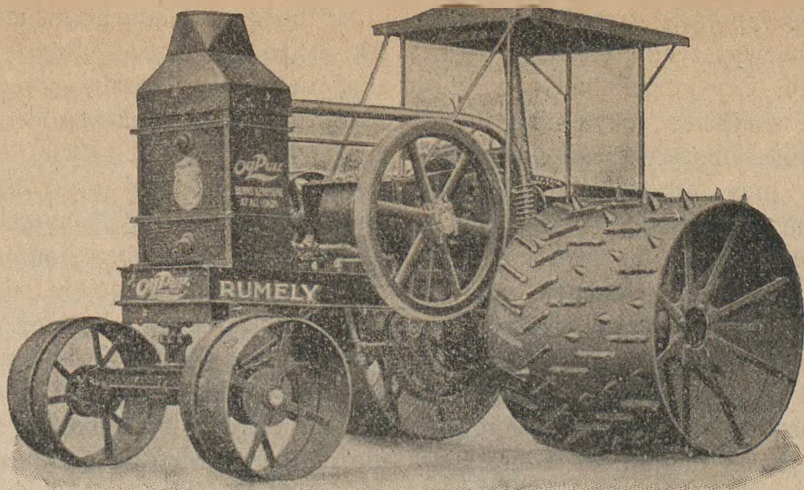
Ciągówka Michla

wszystkie cztery koła, wtedy jednak przez sztywne złączenie wszystkich mechanizmów maszyny z kołami, wóz traci prawie zupełnie powrotność, i może się poruszać niemal wyłącznie po linji prostej. Michl też, pomimo, że maszyna jego służy jako zaprzęg do pługów czy innych narzędzi, nie stosuje pługów oddzielnie przyprzęganych, za przykładem innych konstruktorów ciągówek, lecz każe swojej maszynie podczas pracy jeździć tylko po linji prostej, naprzód i wstecz, bez zawracania na skraju pola po wyoraniu zagona. Michl upodobnia orkę swoją maszyną do orki pługów, ciągnionych linami, i dla tego używa pługa Fowlera przechylanego, rozdzieliwszy go na dwie części,—jedną część zaczepia z przodu, a drugą z tyłu ciągówki. Pługi, zczepione z ciągówką ruchomo sworzniami, można, przy pomocy linkowych dźwigarów, łatwo podnieść lub opuścić. Na rycinie widzimy z tyłu maszyny orzący opuszczony pług, z przodu zaś zawieszony na dźwigarze, który po przejściu zagonu, ma być opuszczonym i przy ruchu wstecznym ciągówki ma orać.

Maszyna Michla jako pomysł przedstawia niektóre bardzo poważne zalety; najważniejsze—to umożliwienie napędu na wszystkie cztery koła równocześnie; dalej, ponieważ koła są nizkie, więc i całość maszyny nie jest tak chwiejną, jak owe ciągówki, spięte na olbrzymio-wysokich kołach, co bezwarunkowo winno przyczynić się do mniejszego psucia i zużywania się mechanizmów. Ciągówka Michla jest też lekką, gdyż mając silnik rozwijający 50 koni mech., waży tylko 240 pudów, a ponieważ ciężar ten wraz z natężeniem pracy rozkłada się równomiernie na wszystkie cztery koła, więc dzięki temu i ugniatanie ziemi jest nieznaczne.

Nie przesądzamy jednakże praktycznej użyteczności tej nowej ciągówki, gdyż zbyt mało posiadamy o niej wiadomości z miejsca jej pracy.

W zupełnie oryginalny sposób unikają Amerykanie wad ciągówek



Ciągówka Rummely.

wysokokołowych. Odrzuciwszy zupełnie koła, zamienili je rolkami, po których prowadzone są taśmy z zawiosowo łączonych blach stalowych—tak zwane elementy „gąsienicowe", stosowane przez firmy Western Implement & Motor Co. i dobrze u nas znaną firmę Holt Caterpillar Comp.

ST. WOLSKI.

▫ ▫ ▫

Martwe bogactwa.

(Z dziedziny meljoracji rolnej).

II.

Kwestja kultury błot torfowych nizinnych, zamiany ich na łąki i bogate folwarki rolne, a więc błot typu identycznego lub zbliżonego do naszych na Polesiu, doszła w Galicji do niebywałego rozwoju i w tym kierunku my stanowczo wyprzedziliśmy naszych sąsiadów zachodnich.

Szkoda wielka, że ziemscy błotnicy („bołotowiedy") nie idą tam po gotowe przykłady, a swą wiedzę praktyczną czerpią wyłącznie u Niemców, co niezawodnie całą sprawę błotną powstrzyma w rozwoju.

Czy może kraj nasz jest tak bogaty z natury, że nie potrzebuje akcji meljoracyjnej na szerszą skalę? Czy też może owoc ten nie dojrzał jeszcze dla naszych warunków?

Że kraj nasz ma mnóstwo błot i nieużytków, jezior nie zarybionych i stawów zadziczałych, że całe powiaty mają ziemie sapowate i nieprzepuszczalne — o tem wie najbardziej nawet powierzchowny obserwator. Co się zaś tyczy drugiego pytania, to niebywały wzrost ceny produktów rolnych, raptowny wzrost ceny ziemi, a co za tem idzie — konieczność podniesienia wypłodności tej ziemi — stanowią odpowiedź najbardziej wymowną.

Olbrzymie, wprost niezmierzone bogactwa spoczywają tu w uśpieniu, oczekując na inicjatywę i energję wytwórców. Wprawdzie dzisiejsze czasy zamętu nie usposabiają nas do pracy spokojnej, organicznej, ale ani na chwilę nie wolno nam zapomnieć o naszej misji cywilizacyjnej i pamiętać musimy, że każda chwila powstrzymania naszego postępu równa się cofaniu wstecz i pozostawieniu niezajętej placówki na pastwę żywiołów obcych.

Zacznijmy nasz pobieżny przegląd tych krajów rozległych od osławionego P o l e s i a, zalegającego olbrzymiemi swemi błotami na Rusi. Krajowi temu niezawodnie sądzono w niedalekiej może przyszłości odegrać niesłychanie ważną rolę pod względem ekonomicznym: obfitość wód, gęsta sieć rzek, rzeczek i strumieni, obszerne łąki— wszystko to stanowi wielkie bogactwo, które, wobec nader pomyślnego położenia geograficznego Polesia - w pobliżu zachodniej granicy państwa—nabiera niezwykłego znaczenia. Czy w produkowaniu materjałów surowych (siana i przetworów zwierzęcych) mogą z tym krajem konkurować sąsiednie pań-

stwa europejskie przy bez porównania wyższych cenach ziemi i pracy? Czy gdziekolwiek w Europie znajdziesz czytelniku takie olbrzymie obszary ziemi niewyzyskanej przy stosunkowo licznym i tanim robotniku? Jeżeli nadto uprzytomnimy sobie tę coraz szybciej wzrastającą konsumcję na rynkach europejskich przy kurczącym się niejako głównym czynniku produkcji wskutek drożenia ziemi i tę bliskość tych rynków przy zupełnie już dziś dogodnych komunikacjach wodnych i kolejowych, to rokować musimy niechybnie Polesiu świetną przyszłość.

W pierwszym rzędzie produkcja siana na eksport i dla hodowli zwierząt, a w drugim gospodarstwo rybne na wielką skalę, mają na Polesiu olbrzymie widoki rozwoju. Widoki te są niejako zagwarantowane przez samą przyrodę tego kraju. Śmiało rzec można, że niema ani jednego majątku, większego lub mniejszego, w którymby wszystkie warunki wymownie nie przemawiały za uporządkowaniem zaniedbanych łąk, oraz—obok tej meljoracji—za urządzeniem gospodarstwa stawowego. W bardzo zaś wielu z nich stawy zajmowaćby mogły tysiące morgów, zapewniając właścicielom niemal krociowe dochody.

Oczywiście można tu się natknąć na poważne trudności techniczne, jak n. p. na brak dogodnego spo-obu odprowadzenia wód zbytecznych po za granice majątku, przy którym ani gospodarstwo łąkowe, ani rybne prosperować nie mogą. Wszakże w tym kierunku zdziałano już bardzo wiele, bo ekspedycja jenerała Józefa Żylińskiego przeprowadziła główną sieć kanałów odwadniających, do której prywatni właściciele ziemscy mogą dołączyć swoje rowy osuszające. Wprawdzie jeszcze nie wszyscy ziemianie mogą korzystać z tej zasadniczej sieci kanałów, która gwałtownie wymaga dalszego swego rozwoju, ale niechby tymczasem chociaż ci właściciele pomyśleli o swoich nieużytkach, którzy pod tym względem są w lepszem położeniu.

Możność dokładnego osuszenia łąk wiąże się jeszcze z inną kwestją, niełatwą do rozstrzygnięcia — z możnością produkowania siana w dobrym gatunku, bo liche siano, jakie mamy z bagien torfowych, nie znajdzie zbytu korzystnego. Tylko dobre siano może stanowić podstawę racjonalnej hodowli bydła i koni. Rolnicy nasi, są powszechnie tego mniemania, że łąka torfowa, —a takie są właśnie na Polesiu — dobrego siana nie da; wystarczy wszakże zajrzeć do sąsiedniej Galicji, Prus Królewskich, by się przekonać, jakie trawy tam hodują na torfowiskach podobnych do poleskich lub nawet z natury swej gorszych.

Jeżeli będziemy rozpatrywali równocześnie łąkarstwo i rybactwo, jako dwie podstawowe meljoracje dla Polesia, to oczywiście łąkarstwo zajmuje pierwsze miejsce i gra rolę poważniejszą w życiu ekonomicznem kraju, bo daje podstawę rozwoju hodowli inwentarza i tem samem—podnosi gospodarstwo rolne. Wzmiankowana „Ekspedycja osuszenia Polesia“ miała też na widoku wyłącznie rozwój łąkarstwa i niema wątpliwości, że kraj ten już w niedalekiej przyszłości zasłynie z najbogatszych łąk na całą Europę. Zanim to jednak nastąpi, a nawet—gdy kultura łąk poleskich stanie już na pewnej wysokości swego rozwoju — dość będzie jeszcze miejsca na zakładanie stawów rybnych na wielką skalę. Wspomnieliśmy już, że rozwój łąkarstwa zawarunkowany jest przedewszystkiem produkcją siana dobrego, jakie wydaje tylko łąka dobra. Dla zamienienia dzisiejszych jałowych bagien torfowych, zarośniętych przeważnie sosenkami, „bielą“ (brzózkami), na żyzne łąki — potrzeba znacznych kapitałów i nie mało czasu; pod tym względem przedsiębiorstwo hodowli ryb jest meljoracją mniej wymagającą: stopień osuszenia terenu może być też mniejszy, nakład kapitału niższy, a sfinansowanie interesu — znacznie łatwiejsze, bo ryby stanowią artykuł handlu bardzo poszukiwany, a wywózka tego towaru z Polesia za granicę odbywa się już dzisiaj (na małą skalę) bez żadnej przeszkody.

Tylko brak inicjatywy, brak świadomej zrzeszonej pracy w tym kierunku sprawił, że Polesie dotąd nie jest krajem najbogatszym w ryby.

Osuszenie błót wpłynie zbawiennie na sapowate pola, w które Polesie i cała Litwa tak obfituje, przez obniżenie poziomu wód zaskórnych. W związku z tem zjawiskiem, blisko stoi kwestja osuszenia pól wogóle różnymi systemami, co na Litwie jest tem donioślejszą meljoracją, że tam okres wegetacyjny roślin uprawnych jest krótszy i grunty przeważnie zimniejsze.

W. SIKORSKI.

□ □ □

Kwestja nawozowa.

Ostatnie lata wysunęły naprzód kwestję nawozową. Pisze się dziś o niej i mówi bardzo dużo. Kwestja jest tak ważna, że Niemieckie Towarzystwo Rolnicze postanowiło wysłuchać opinji ludzi ze wszech miar kompetentnych i rozpisało ankietę do uczonych, w celu zaciągnięcia od nich odpowiednich informacji.

Podajemy poniżej w skróceniu najznamienniejsze odpowiedzi uczonych niemieckich.

Prof. Dr. Adolf Mayer z Heidelberga, długoletni kierownik kr. rolniczej Stacji doświadczalnej w Wageningen (Holandja) uważa, że cele i zadania nowoczesnej nauki o nawożeniu nie mogą polegać jedynie na zbadaniu potrzeb nawozowych danej rośliny o pewnym ściśle oznaczonym typie botanicznym, ale tejże potrzeby w celu osiągnięcia wyniku pomyślnego ściśle określonej fizjologicznej cechy. Innemi słowy mówiąc: stara nauka o nawożeniu, której początek łączyć trzeba z nazwiskiem Liebiga, stawiała pytanie: jakich materji odżywczych (nawozowych) potrzebuje żyto, jęczmień, tytoń, winna latorośl i t. p.? Przyjmowała zatem roślinę za coś danego i wogóle niezmiennego. Od tych czasów nauka fizjologji, poparta praktyczną hodowlą, poczyniła olbrzymie postępy i uwydatniła, że pewien typ roślin nie

jest czemś niewzruszalnem, ale łatwo może się zmieniać i to podług naszej woli. Pojęcie to do tego stopnia szeroko przyjmować możemy, iż może być już mowa poprostu o wstrząśnięciu nauką morfologji, w jej dawnem tego słowa znaczeniu. W zastosowaniu gospodarczem możemy powiedzieć, że dzisiejsza nauka rolnictwa dąży do wytworzenia więcej cukru w buraku, więcej mączki w ziemniaku, silniejszej słomy u pszenicy, polepszenia jej wypiekalności i t. p. Nauka nawożenia przystosowuje się do tego. Już i dawniej czyniono próby odpowiedniego odżywiania jęczmienia browarnego, buraków cukrowych i t. p., ale zawsze myśl przewodnia, jaka dawniej była, najlepsze i najobfitsze odżywienie rośliny, zasłaniała dzisiejszą myśl przewodnią, jaką jest: możliwie największe osiągnięcie celów gospodarczych. Miejmy nadzieję, że ten drugi cel będzie wkrótce dominował we wszystkich kwestjach, dotyczących nawożenia.

▫

Prof. Dr. I. König z Münster, długoletni kierownik Stacji doświadczalnej w Münster, twierdzi, że badania w ostatnich 20 latach wykazały, iż rola przedstawia nader złożone środowisko, w którem zachodzą różne procesy biologiczne i chemiczne. Wzajemne oddziaływania ziemi, nawożenia i roślinności są nam jeszcze w szczegółach nieznane, ale urządzamy próby doświadczalno-nawozowe, tak, jak to już czynimy, gdyż doświadczenia polowe dają nam obraz tylko sumarycznego działania wszystkich czynników w danym przypadku, których odnosić do innej ziemi, roku, roślin i t p. nie można. Musimy zatem, aby zastosować właściwe nawożenie, przedewszystkiem poznać naturalne środowisko rośliny, t. j. rolę, i to tak pod względem jej fizycznych własności, jak i chemicznego składu, aby wiedzieć co ten ośrodek sam ze siebie roślinie dać może. To też badania takie muszą poprzedzić doświadczenia nawozowe, które jednak wykonywać należy jedynie na małą skalę, w naczyniach i w pomieszczeniach, w których wszystkie czynniki, jako to: wilgoć, ciepło i światło mogą być ujednostajnione. O ile takie doświadczenia dadzą wyniki pozytywne, w takim razie można już je odnosić także do pola. Jako nową metodę oceniania zapotrzebowania materji nawozowych w ziemi uznać należy badanie roli pod względem: włoskowatości (hygroskopijności), jej zawartości połączeń galaretowatych (koloidalnych), zdolności utleniania próchnicy, oraz utleniania przy pomocy wody utlenionej rozpuszczalnych materji odżywczych, przewodnictwa elektrolitycznego, wreszcie badanie roślin, poprzednio na danym gruncie rosnących. Jeżeli te badania nie wystarczą, w takim razie trzeba szukać jeszcze innych. Taka droga badań jest długa i mozolna, ale jedynie prowadząca do możności dawania rolnikowi przed uprawą wskazówek, jak ma nawozić, aby w normalnych warunkach atmosferycznych osiągnąć maximum plonów.

▫

Prof. Dr. J. W. Dafert, dyrektor c. k. Stacji doświadczalnej rolniczej w Wiedniu, wyraża się ujemnie o najnowszej, na matematyce opartej, metodzie zapatrywań, która, podług niego, więcej złego niż dobrego zrobiła. Jej wymagania grożą przemianą doświadczeń nawozowych w prace, dla których ani życie ludzkie, ani siły jednostek nie wystarczą. Dotychczas mało robiliśmy różnicy w nawożeniach pomiędzy takiemi roślinami, którym w całości dostarczyć pragniemy materji odżywczych, a takiemi, u których mamy pewien cel specjalny, np. powiększenie cukru w buraku, zmniejszenie ilości białka w jęczmieniu, polepszenie zapachu i smaku chmielu i t. p. Prawo „minimum“ jest przykrojone jedynie do rośliny normalnej, tymczasem takie odrębne cele w produkcji mogą być osiągnięte tylko nadzwyczajnymi wpływami. Nie jest wykluczone, że do tego celu podążać będzie można tylko bardzo jednostronnemi nawożeniami, tak zwykłemi materjami odżywczemi, jak i tem, które roślinie służą tylko jako pobudka do lepszego przyjmowania pokarmów. Pozatem konieczną jest jednolitość w badaniach i ujednostajnienie metod. (Podług „Mitteilungen der D. Landw. Gesellschaft“).

▫ ▫ ▫

Płoskirowsko-Latyczowskie Stowarzyszenie Rolnicze.

W marcu odbyło się ogólne zebranie Płoskirowsko-Latyczowskiego Stowarzyszenia Rolniczego.

Ze złożonego sprawozdania przez Zarząd, okazało się, że rok 15-ty działalności Stowarzyszenia zamknięto stosunkowo niewielkim zyskiem — 910 rubli. Powodem tego był kryzys ekonomiczny, który przeżywają nasze strony, z powodu dwuletniego nieurodzaju. To też nie mogło to się nie odbić niekorzystnie na działalności takiej instytucji czysto rolniczej jak nasze Stowarzyszenie. Wogóle obroty się zmniejszyły znacznie, i tak: gdy w roku 1911—ogólny obrót wynosił 575000 rub., to w 1912 r. 555000 rub., a w 1913 r. — tylko 387000 rub., t. j. prawie o 190000 rub. mniej, niż w roku normalnym 1911. Nawet użycie nawozów sztucznych, które w ostatnich latach wzrastało u nas żywiołowo, zmniejszyło się w 1913 roku, i kupiono takowych mniej o 63000 rub.

Powodem małych zysków Stowarzyszenia, były także liczne bardzo bankructwa w 1913 roku, zwłaszcza w sferze dzierżawców, wskutek czego musiano wpisać bardzo wiele należytości na straty.

Po odczytaniu sprawozdania komisji rewizyjnej, ogólne zebranie zatwierdziło bilans i sprawozdanie Zarządu i wyraziło podziękowanie Zarządowi za owocną pracę około rozwoju instytucji, w tak trudnych warunkach.

Następnie przystąpiono do wyboru członków zarządu, na miejsce wychodzących pp. M. Baranieckiego, J. Starorypińskiego, W. Jaworskiego, F. Zawadzkiego i L. Skoczyńskiego.

Trzech pierwszych wybrano ponownie, a na miejsce dwóch ostatnich wybrano pp. S. Szamowskiego i I. Kisielewa.

Z ważniejszych faktów z rozwoju naszego Stowarzyszenia należy zanotować: ustąpienie długoletniego pracownika syndykatu, a w ciągu ostatnich trzech lat dyrektora, p. Zarudzkiego i założenie ajentury w Kamieńcu. Ustąpienie p. Zarudzkiego wzbudziło żal powszechny, bo przez swoją pracowitość, wiedzę i uprzejmość potrafił on sobie zjednać niemal wszystkich bez

wyjątku członków Stowarzyszenia. To też Zarząd i podwładni z biura ofiarowali p. Zarudzkiemu dwie grupy fotograficzne pamiątkowe, a przed wyjazdem odbyła się uczta pożegnalna, na której wygłoszono dużo ciepłych i serdecznych toastów.

Miejsce dyrektora po p. Zarudzkim objął w roku bieżącym p. S. Szamowski, były kierownik filji Piotrkowskiego Stowarzyszenia Rolniczego, człowiek młody, pełen zapału i energji, po którym wiele spodziewają się wszyscy stowarzyszeni.

Założona zaledwie od paru miesięcy agentura syndykatu w Kamieńcu, rozwija się zupełnie dobrze i pozwala wróżyć jaknajlepsze nadzieje.

Zarząd Stowarzyszenia w 1914 r. składają: pp. Prezes M. Baraniecki; Wice-prezes—J. Starorypiński; Sekretarz—S. Stempowski; Dyrektor — S. Szamowski; Zastępca dyrektora — S. Rohn; Członkowie Zarządu: W. Jaworski, T. Kossak, M. Markiewicz i I. Kisielew.

▫ ▫ ▫

Kółka włościańskie i ziemstwa.

Na tle protestów i wyrazów niezadowolenia z działalności naszych ziemstw dla włościan, jakże jaskrawo odbijają rezultaty krótkiej, bo ledwie siedmioletniej, działalności Kółek rolniczych C. T. R. w Królestwie!

Świeżo odbyty zjazd delegatów tych Kółek ujawnił rodzące się nowe życie wsi polskiej, dążące pod wpływem i kierunkiem Kółek do rychłego przeobrażenia się współczesnych stosunków społecznych i gospodarczych Królestwa.

Oto garść cyfr bardzo wymownych: Z końcem roku 1912 było czynnych 964 Kółek z 34 tysiącami członków, podzielonych na 30 okręgów. Odbyto kursów rolniczych: 69 jednodniowych, 21 dwu, 15—trzy, 5 czterodniowych i 10 tygodniowych, 8 dziesięciodniowych i 10 kursów miesięcznych; prócz tego działają kursy zimowe w Nałęczowie i kursy całoroczne w Mieczysławowie (pod Kutnem) i w Krzyżewie (Łomż. gub.) Instruktorów pracowało w tymże roku ogółem 36, wszyststko ludzie rodzinni, miejscowi, z potrzebami ludu ściśle związani i obeznani. Na podniesienie gospodarstwa włościańskiego wydano w jednym roku około ćwierć miljona rubli (w postaci zasiłków z subwencji rządowych i z innych źródeł). Działalność tedy Kółek była głównie skierowana ku szerzeniu wiedzy rolniczej i wychowaniu szerokich mas ludowych.

Zjazd wyraził opinję, że okres agitacyjny w pracy Kółek, zmierzający do ich rozpowszechnienia i powiększania ich liczby, należy już uważać za zamknięty i skończony. Dzisiaj powinno się pracować nad podniesieniem poziomu ich życia i nad oparciem ich działalności na mocnych fundamentach przez gromadny udział w tej pracy żywiołu obywatelskiego.

Po za tysiącem Kółek rolniczych, grupujących się w Wydziale C. T. R. funkcjonuje jeszcze z górą dwieście Kółek, skupionych około imienia Staszica, nie mniej gorliwie pracujących.

U nas rolę Kółek wzięły na siebie ziemstwa, hojnie uposażone w szeroką kompetencję, władzę i środki. .I cóż? Dolegają wszystkim w trójnasób zwiększone ciężary ziemskie i przeraża zapowiedź dalszego ich wzrostu głównie na opłacanie falangi urzędników ziemskich obcych ludowi kulturą i życiem Pozytywnych owoców ich pracy nie widać. Weźmy sprawę drogową, pomoc lekarską i inne. Na dobro ziemstw zapisują niektórzy opracowanie sieci szkolnej i uszczęśliwienie ludności setkami agronomów i specjalistów. Lecz właśnie na jesiennych sesjach wielu zebrań ziemskich wystąpiono z opozycją przeciwko tej narzuconej agronomji — właśnie ze strony włościan, którzy uważają ją za nieodpowiadającą potrzebom i interesom ludności wiejskiej...

Paralela pomiędzy działalnością skromnych Kółek Królestwa i panoszących się ziemstw naszych skłania do głębokiej zadumy i troski.

W. S.

▫ ▫ ▫

RÓŻNE.

Subsydjum dla ziemstwa kijowskiego. Główny zarząd rolnictwa i urządzeń rolnych zawiadomił kijowski gubernialny zarząd ziemski o wyznaczenie mu w roku bieżącym na budownictwo ogniotrwałe następujących subweneji: 1) na budownictwo w rejonach urządzeń rolnych dla futorników i właścicieli parceli 57,983 rb. 31 k. i pożyczki na lat 15 — 17,000 rb. i 2) na budownictwo w pozostałych rejonach z wydziału ekonomji i statystyki rolnej 26,380 rb. zapomogi i pożyczki na lat 10—31,328 rb. 75 kop.

Nowy plan osuszenia Polesia. Główny urząd rolnictwa i urządzeń rolnych opracował nowy na wielką skalę zakreślony plan osuszenia błot poleskich. Osuszenie Polesia, rozpoczęte przed 30 laty, posuwało się bardzo powoli, głównie ze względów strategicznych, gdyż błota poleskie uważane są za najlepszy naturalny środek uwięzienia części armji nieprzyjacielskiej. Obecnie, wskutek rozwoju dróg kolejowych ten punkt widzenia uległ zmianie i opracowano plan osuszenia tych błot kosztem 16 miljonów rubli. Osuszonych ma być od $2^1/_2$ do $3^1/_2$ miljonów desiatin. Jedną trzecią część przewidywanych wydatków ponieść ma ziemstwo, średnia i większa własność rolna oraz towarzystwo akcyjne budowy kanału Ryga-Chersoń, łączącego morze Czarne z Bałtykiem. Wydatki skarbu w wysokości $11^1/_2$ miljonów rubli rozdzielone będą na 9 lat.

Premjowanie fabrykacji maszyn rolniczych. W projekcie budżetu wydatków na rok 1914 ministerstwo handlu wstawiło na premjowanie maszyn rolniczych sumę o 650.000 rubli większą niż na rok 1913. To zwiększenie funduszu premjowego tłómaczy się wzrostem wytwórczości maszyn rolniczych w Rosji. Zgłoszone do tej pory przez niektóre fabryki ilości maszyn do premjowania w 1914 roku są już bardzo pokaźne, mianowicie: wiązałek 5,100 sztuk, kosiarek 4,000 sztuk, kosiarek z przyrządem żniwnym zgarniaczem 25,000 szt., lokomobil 367 szt., żniwiarek 1,700 szt., młocarń 75 szt., młocarń parowych 5,000 pudów.

Wypłacenie premjów za wyliczone ilości pochłonęłoby już 1,256,670 rb. Nie wszystkie jednak fabryki zadeklarowały swą przewidywaną wytwórczość w 1914 roku. Ogółem przewidywany w projekcie budżetu na 1914 rok fundusz premjowy wynosi 14 mil. rb.

Ulgi dla ziemstw. Zarząd kolei Podolskiej przyznał ziemstwom Podola i Wołynia, przez których terytorja przechodzi tor kolejowy, znaczne ustępstwa z taryfy przewozowej na kamień, piasek i inne materjały budowlane, przeznaczone na poprawę i budowę dróg ziemskich.

Meljoracje u włościan. Warsz. Tow. Meljoracyjne w sprawozdaniu ze swej działalności zaznacza, że ubiegły rok klęskowo mokry zwrócił uwagę włościan na potrzebę drenowania, co wyraziło się w licznych zwracaniach się do Tow. o pomoc. Zbadano przeto w r. z. na gruntach włościańskich 249 morgów pól i łąk, zaprojektowano 331 morgów drenowania, 168 morgów nawodnienia. Wykonano pod bezpośrednim dozorem Tow. 28 m. drenowania.

▫ ▫ ▫

NAKŁADEM KIJOWSKIEJ SPÓŁKI WYDAWNICZEJ.
Redaktor i wydawca: Jan Ursyn-Zamarajew. Czcionkami Drukarni Polskiej w Kijowie.